№ 46. Warszawa, dnia 14 (2) Listopada 1885 r. Rok V.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Zielna Nr. 7-a.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Glińskiego, Plac Kazański Nr. 7.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ.

NUDNE KAZANIE.

Są pewne i to bardzo ważne strony życia ludzkiego jakąś dziwną fatalnością skazane na wieczyste zaniedbanie. Od czasu do czasu zbudzona świadomość przyznaje bez sporu, że o którejkolwiek z tych stron pamiętać należy, ale wkrótce zasypia na starym, nawet niezbyt wygodnym nałogu. Oświata, dobrobyt materyalny, nauka, sztuka — każdym z tych przedmiotów można zająć uwagę ogółu, rozciekawić go, roznamiętnić, odurzyć. Ale niech kto spróbuje np. odezwać się w sprawie publicznego zdrowia, powszechnie uważanego za skarb najcenniejszy — słuchać będą wskazówek... chorzy. Ukształcona panna nie przebaczyłaby sobie zapomnienia daty odkrycia Ameryki, ale bez namysłu poślubi wychowańca szpitalów Łazarzowych i przekaże potomstwu zarody ciężkich słabości. Zwłaszcza u nas większym jest występkiem nie znać *Maryi* Malczewskiego, niż dać życie pięciorgu dzieciom skrofulicznym, dziedzicznie usposobionym do chorób i zbrodni. Nieraz zdaje się, że w społeczeństwie pokutują duchy Malthusów i Schopenhauerów, że ono świadomie dąży do swojej zagłady.

Nudną, lekceważoną, jednem uchem wpuszczaną a drugim wypuszczaną jest wogóle nauka o rozwijaniu ciała, tak dalece nudną, że trzeba ufać pewnej wytrawności swych czytelników, ażeby ich w piśmie nią zaprzątać. Odważymy się na to.

Nie przypadek zapewne sprawił, że narody głównie dziś zwycięskie w walce o byt polityczny — niemcy, anglicy, rosyanie — przedstawiają najdalej posunięty rozwój fizyczny, że, przeciwnie, pokonane w tej walce wyglądają najbiedniej. Każdego, przejeżdżającego zachodnią granicę Królestwa, uderzył niewątpliwie widok rosłych, barczystych, obficie umięśnionych prusaków. Patrząc na nich, natychmiast rozumiemy, że ci ludzie mogli rozbić Francyę. Co za różnica w zestawieniu z polakami wszelkich warstw! Chłop zwykle chudy, niski, pochylony, z pomarszczoną i żółtawą skórą, z sinemi ustami i rzadkim włosem; żyd odrazu ujawnia, że ze śledzia i cebuli krew swą wysysa; robotnik i rzemieślnik sprawiają wrażenie przedwcześnie do ciężkiej pracy zaprzęganych koni; cała ludność miejska wątła i wybladła, kobiety cienkie jak osy, pobielone, potynkowane, bezkrwisto, wymokło; arystokracya wyniszczona w zbytku i flaczkowata. Względnie najlepiej rysuje się t. z. szlachta wiejska, ale i ona w młodszych pokoleniach coraz bardziej marnieje.

Hobbes urodził się podczas burzy na okręcie przed czasem — i mimo to był wielkim filozofem; garbaty Kant cierpiał na wiele dolegliwości i również był genialnym mędrcem. Chopin pozostał delikatnym pieszczochem, a Matejko jest organizmem nadmiernie wątłym. Wszystko to prawda, ale te przykłady, które długim szeregiem rozciągnąć łatwo, nie dowodzą bynajmniej, że zbiorowisko ludzkie — cały naród fizycznie słaby i zwyrodniały może długo utrzymywać się w walce o byt. Geniusz osiada czasem w nędznem ciele, ale siła polityczna, wytwórczość materyalna, nawet samodzielna cywilizacya ucieka ją od szczepów próchniejących. Wiedza przyrodnicza nauczyła nas, że zwyrodnienie, starość, naturalne wymieranie narodów i inne objawy, dostrzegane w życiu osobniczem, nie są przenośniami poetycznemi, lecz faktami rzeczywistości. Człowiek strzeże się, ażeby nie był zabitym, ale również stara się, ażeby nie popadł w chorobę i nie umarł. Naród, przynajmniej nasz, o tym drugim wypadku, daleko groźniejszym, myśli bardzo mało i bardzo rzadko. Naiwnie sądzi, że jeśli tylko nie będzie zabitym, nigdy nie umrze. Jest to wiara dziecięca, dla której wynaleziono różne zmartwychwstania po śmierci, która wszakże w głowach oświeconych siedziby swojej mieć nie powinna. Narody bowiem umierają i nie zmartwychwstają. Dowodem największy, najgienialniejszy między nimi, po którym pozostała tylko kostnica ochrzczona dawnem imieniem a zamieszkana przez różnorodną zbieraninę — grecy.

Co byśmy rzekli o lękliwym dziwaku, któryby ciągle zaryglowywał drzwi i zamykał okna w swoim domku z obawy przed rozbójnikami, a nie dbał ani zdrowie, ani o umysł? A przecież my często tak robimy.

W wysokiej liczbie przeoczeń znajduje się również lekceważenie rozwoju sił fizycznych, usprawiedliwiane chyba tem, że mały Dawid zabił wielkiego Goliata. Na nieszczęście dziś już Dawidy nie zabijają Goliatów, lecz odwrotnie. Wszędzie widzimy ten obraz, że walkę o byt rozstrzyga nietylko przewaga cywilizacyi, ale także przewaga mocy cielesnej, która nadto zwykle jest matką cywilizacyi. Tymczasem w typowem wychowaniu naszem spełniane są wszystkie przykazania pracy dzieci nad książką lub przy warsztacie, a żadne z wymagań hygieny. W obecnym numerze *Prawdy* znajdziecie podane przez Laveleye'a szczegóły o gimnastyce dla młodzieży w Serbii. A u nas? Kto u nas pamięta, ażeby dzieci miały do oddychania potrzebną ilość stóp powietrza, ażeby ćwiczyły i wzmacniały ciało? Żal patrzeć na mizerny i wątły drobiazg, kiedy jakaś jego gromadka wysypie się na ulicę ze szkoły. Ta sama niedbałość później. Chłopiec kilkunastoletni nie może dźwignąć puda, ale za to romansuje na schodach ze służącemi. Zanim dojrzeje — już jest zdechla-

czkiem, na którego brodzie i głowie ledwie rzadko włos się utrzyma, ale ten zdechlaczek przed pełnoletnością miewa już dzieci!

Jakże inaczej wygląda młodzież niemiecka, czerstwa, rumiana, zdrowa! Często wyśmiewamy upodobanie studentów niemieckich do bijatyki rapirowej. Ale ci studenci nie potrzebują... szwaczek. Wytłucze się, wyfechtuje na mensurze, wraca do domu i zasypia mocno bez rozpusty, bez roznerwowania. Taką koleją idzie znaczna większość.

Tyle razy już daremnie tłomaczono naszym rodzicom konieczność kształcenia dzieci fizycznie, że nie powtarzamy tej starej piosenki. Pragniemy tylko ludziom rozsądnym a energicznym podsunąć myśl założenia towarzystwa gimnastycznego na wzór zagranicznych. Gdy „Sokół“ czeski przybył do Krakowa i wystąpił jako stowarzyszenie poważne — czytelnicy polskich gazet długo zapewne nie przypuszczali, że to tylko związek gimnastyczny i z początku nie wierzyli własnym oczom. Po wyjeździe czechów Galicya tak się „zsokolizowała,“ że zewsząd krzyczano o natychmiastowe naśladowanie pobratymców. Jak zwykle fajerwerk szybko spłonął, a dym wiatry rozwiały. Pozostał wszakże przykład, co społeczeństwo rozsądne zrobić może ze skromnej instytucyi.

Na własnym gruncie mamy przykład inny — Towarzystwo wioślarskie, które nam uwydatnia niezmiernie doniosłą wartość społeczną tego rodzaju związków. Od lat wielu skarzymy się na brak ognisk dla życia pozarodzinnego. Towarzystwo wioślarskie w części brak ten usunęło, ale daleko lepiej usłużyłoby tu gimnastyczne, jako mogące skupić w sobie więcej uczestników. Nie rozsnuwamy zresztą dalej tej nici, gdyż ją sobie każdy sam doprzędzie.

Zarówno tedy dla rozwoju sił fizycznych, jak i dla rozrywek moralnych powinniśmy koniecznie pomyśleć o stowarzyszeniu gimnastycznem, a raczej o sieci stowarzyszeń, obejmującej kraj cały. Bo nie idzie nam o samą Warszawę, chociaż ona, żyjąc w najgorszych warunkach zdrowotnych, mając przeważnie ludność zdenerwowaną, źle odżywianą, wątłą, najwięcej potrzebuje wzmocnień fizycznych. Nie przepisujemy, co tu należy robić, pragniemy tylko, ażeby jak najszerzej zrozumiano, że rozwój cielesny ogółu — to ani staranie grzeszne, ani „brudny materyalizm,“ ani drobiazg „wobec spraw ważniejszych,“ lecz kwestya życia ogółu, godna zająć nas bardziej od zagadki, „co myśli ten Bismark.“

DRUGA INTERPELACYA.

Wspominając niedawno na tem miejscu o kłopotach, w jakie wprawiła rząd austryacki grzeczna zresztą i skromna interpelacya posłów polskich, dotycząca edyktu pruskiego, wypowiedzieliśmy na końcu zdanie, że dziury tylko do czasu „łatać“ można. Los zrządził, iż w owej sprawie, słuszność naszego zdania dziwnie prędko stwierdzoną została.

Hrabia Taaffe załatał podówczas dziurę, stworzoną przez interpelantów w stosunkach austryacko-pruskich, z pośpiechem i rycerską iście gotowością, za którą we właściwem miejscu należne otrzymał uznanie... Interpelanci słuchali wprawdzie jego wywodów ze zdumieniem ale, czy to z grzeczności, czy też z polityki (t. z. „wyższej“), rozprawy dalszej w tym przedmiocie nie wszczęli. Zdawało się więc, że kwestya została stanowczo załatwioną a właściwie szczęśliwie pogrzebaną. Rząd austryacki odetchnął swobodniej: czułe stosunki sąsiedzkie niczem już nie były zmącone.

Lecz licho nie śpi. Ni stąd—ni zowąd pękła łata, odsłaniając tę samą dziurę i to w chwili zgoła niewłaściwej. Prawdziwa rozpacz! Zaledwie minister Kalnoky, uporał się z komisyą delegacyi węgierskiej, napociwszy się co niemiara, bo owe znane *l'enfant terrible*, jak zawsze, zbyt było ciekawe i ustawicznie żądało rozmaitych niepotrzebnych i kłopotliwych wyjaśnień, przyszła chęć komisyi delegacyi drugiej połowy państwa zatruć mu chwilę odpoczynku po znojach—wydobyciem na światło dzienne pogrzebanego już raz edyktu pruskiego! A sposób, w jaki to uczyniono, jakże nieoględny!

Było to 7 listopada. Pan minister, przeszedłszy już przez krzyżowy ogień zapytań w delegacyi węgierskiej, przybył na posiedzenie komisyi delegacyi austryackiej z wcale dobrą miną. Uprzedzając zapytania członków komisyi, oświadczył, że zamyśla sam nakreślić obraz obecnego położenia politycznego, o ile oczywiście wogóle go nakreślić można, tudzież że przedewszystkiem objaśni komisyę o stosunkach państwa do mocarstw zagranicznych. Nie potrzebujemy szczegółowo rozwodzić się nad mową pana ministra. Wyjaśnienia były podobne, jak w węgierskiej delegacyi. Wystarczy napomknąć, że z jednej strony zaznaczył on niezachwiane trwanie jak najprzyjaźniejszych stosunków z mocarstwami ościennemi, a z drugiej wyraził nadzieję pokojowego przywrócenia traktatem obwarowanego porządku rzeczy na półwyspie Bałkańskim, przyczem nadmienił, że gdyby nawet miało przyjść tam do utarczek (sic!) miejscowych, to jednak z otuchą można spodziewać się, że pokój powszechny nie będzie naruszony, tem mniej pokój między mocarstwami, które go wszystkie pragną.

Po ministrze zażądał głosu delegat dr. Euz. Czerkawski. Wyraziwszy w krótkości zadowolnienie i uznanie za objaśnienia w przedmiocie polityki zagranicznej, oświadczył, że zdaniem jego jedna sprawa stoi w sprzeczności z danem przez pana ministra zapewnieniem o przyjaznych stosunkach z Niemcami, mianowicie edykt pruski. Poprzednia odpowiedź rządu nie zadowolniła nikogo, ponieważ jednak interpelanci wytłomaczyli ją sobie w ten sposób, iż rząd przedlitawski nie jest powołany do wykonania traktatów międzynarodowych lub czuwania nad ich wykonaniem, dla tego postanowili sprawę poruszyć przed trybunałem całego państwa. Następnie w dłuższym wywodzie przedsta-

OJCOBÓJCA

przez

Guy de Maupassanta.

Obrońca obwinionego tłomaczył go pomieszaniem zmysłów. Bo jakżeż usprawiedliwić inaczej tę dziwną zbrodnię.

Pewnego rana znaleziono, niedaleko Chatou, w krzakach dwa trupy, związane razem, kobietę i mężczyznę, znanych w świecie, bogatych, młodych. Mężczyzna ożenił się z tą kobietą, będącą wdową od trzech lat, dopiero przed rokiem.

Nie mieli nieprzyjaciół, nie okradziono ich. Zdawało się, że ktoś, pobiwszy ich prętem żelaznym, wrzucił z brzegu do rzeki.

Śledztwo nic nie wykryło. Zapytywani flisacy także nic nie wiedzieli; postanowiono już zaniechać tej sprawy, gdy pewien młody stolarz z sąsiedniej wsi, imieniem Jerzy Ludwik, przezwany „mieszczaninem,“ podał się za więźnia.

Na wszystkie pytania odpowiadał tylko:

— Mężczyznę znałem od dwóch lat, kobietę od pół roku; kazali mi oni często reparować starożytne meble, gdyż jestem biegły w mojem rzemiośle.

A kiedy go pytano:

— Dlaczego ich zabiłeś?

Odpowiadał uparcie:

— Zabiłem, ponieważ chciałem ich zabić.

Nad to nic więcej nie można było z niego wydobyć.

Ten człowiek był zapewne dzieckiem naturalnem, oddanem mamce na wieś, a później zapomnianem. Nazwiska nie miał, tylko imiona: Jerzy Ludwik, ale ponieważ z wiekiem stał się wyjątkowo inteligentnym i okazywał upodobania delikatniejsze, niż jego towarzysze, przezwano go „mieszczaninem“ i nie nazywano odtąd inaczej. Uchodził za bardzo zdatnego w rzemiośle, które sobie obrał; rzeźbił nawet nie źle w drzewie. Uważano go też za popędliwego, za stronnika zasad komunistycznych, a nawet nihilistycznych, za zapalonego czytelnika awanturniczych, krwawo-dramatycznych romansów, wyborcę wpływowego i biegłego mówcę na zebraniach publicznych robotników i wieśniaków.

Obrońca nie przestawał utrzymywać, że obwiniony ma pomieszane zmysły.

W istocie trudno było przypuścić, aby ten robotnik zabił najlepszych swoich klientów, bogatych i szlachetnych (przyznał to sam), od których w ciągu dwóch lat wziął za robotę koło trzech tysięcy franków (świadczyły o tem jego książki). Jedynem wytłomaczeniem zbrodni mógł być szał, *idée fixe* wykolejonego, który się mści na dwojgu obywatelach za wszystkich, przyczem adwokat lekko napomknął o przydomku „mieszczanin,“ nadanym temu opuszczonemu, i zawołał:

— Czyż to nie jest ironia i to ironia, mogąca do szału doprowadzić nieszczęśliwego chłopca, niemającego ani ojca, ani matki? Jest to gorący republikanin. Co więcej, należy on do tej partyi politycznej, którą Rzeczpospolita karała niegdyś śmiercią i wygnaniem, a którą dziś przyjmuje z otwartemi rękami, do partyi, dla której zbrodnia jest zasadą, a podpalenie środkiem najprostszym. Te smutne nauki, zgodnie potwierdzane na zebraniach publicznych, zgubiły go. Słyszał republikanów, kobiety nawet — tak, kobiety! — żądające krwi Gambetty, krwi Grevego; jego słaby umysł pomieszał się; pożądał krwi, krwi obywateli. Nie jego zatem, panowie, należy potępiać, lecz komunę.

Dały się słyszeć głosy, przyznające mu słuszność. Widać było, że adwokat wygrał sprawę. Prokuratorowie nie odpowiedzieli.

Wtedy prezydent zadał oskarżonemu zwykłe pytanie:

— Czy nie dodasz nic na swe usprawiedliwienie?

Podsądny wstał. Był małego wzrostu, włosy miał jasne, barwy lnu, oczy szare, przenikliwe, pogodne. Głos silny, szczery i dźwięczny wychodził z tego szczupłego chłopca i zmieniał za pierwszem odezwaniem się przekonanie, jakiemy sobie o nim wyrobili.

wił mówca, że rozkaz wydaleń nie jest bynajmniej pruską sprawą wewnętrzną, że owszem „mocno i dotkliwie godzi w interesy i w powagę Austryi i ponad nią się wynosi,“ wyjaśnia, jakie prawa służą wypędzonym polakom zarówno z mocy traktatu wiedeńskiego z r. 1815, oraz w szczególności jako poddanym państwa austryackiego, zaznacza, że jego zdaniem „wobec wywołanego rozporządzeniem pruskiem zaniepokojenia, wstawiennictwo rządu austr. byłoby bardzo na miejscu“ i kończy tem, że chcąc nabrać jasnego wyobrażenia o stanowisku wspólnego rządu monarchii względem tej sprawy, pragnie od niego odpowiedzi na następne zapytania:

„1. Czy ces. i kr. Rząd wspólny uważa gromadne wydalanie obywateli austryackich, a przedewszystkiem obywateli narodowości polskiej z Prus, które w ostatnim czasie stało się wiadomem, a które, jak wyznano, wywołano jest „nieprawidłowem ukształtowaniem się stosunków wyznaniowych i językowych,“ za zgodne z zasadami powszechnego prawa narodów wogóle, z międzynarodowymi stosunkami prawnymi i z podstawami, na jakich opiera się przymierze przyjaźni między Austro-Węgrami a Niemcami; albo jakie inne pobudki, mające znaczenie wobec prawa, sprowadziły te niezwykłe, a dla dotkniętych nadmiernie dokuczliwe kroki wyjątkowe?

2. Jakże stworzone niemi położenie rzeczy pogodzić z artykułem 19-tym zawartego między Austro-Węgrami a Niemcami dnia 23 maja r. 1881, a dotychczas obowiązującego traktatu handlowego, wedle którego obywatelom państw kontraktujących pod względem otworzenia i prowadzenia procederu handlowego i przemysłowego, tudzież zwiedzania targów zwykłych i walnych, wzajemnie poręczona jest najzupełniejsza równość z własnymi obywatelami, podczas gdy zarazem mocą obowiązującej w Prusach ordynacyi procederowej do otworzenia i prowadzenia procederu, nieścieśnionego policyjnie, wystarcza zgłoszenie się z nim do właściwej władzy, a prawa tego ani sądowem, ani administracyjnem orzeczeniem odjąć nie można, z wyjątkiem wypadków, wyraźnie wyszczególnionych w ustawach podatkowych?

3. Jakich sposobów myśli ces. i kr. rząd użyć w drodze dyplomatycznej, aby uzyskać cofnięcie rzeczonego nakazu wydalania, wyjednać i zabezpieczyć obywatelom austryackim, mianowicie także obywatelom polskiej narodowości opiekę prawa za granicą, w Prusach, jakiej słusznie zażywają w Austro-Węgrzech na mocy konstytucyi obcokrajowcy, mianowicie także obywatele pruscy bez względu na język lub wyznanie?

4. Co myśli ces. i kr. rząd uczynić, aby nadwerężoną wydalaniem z Prus swobodę komunikacyi między tutejszymi a tamtejszymi obywatelami, która mieszkańcom prowincyj dawniej polskich i tak już poręczona jest prawomocnymi dotychczas układami traktatu wiedeńskiego z r. 1815, zabezpieczyć teraz także w myśl artykułu 19-go traktatu handlowego między Austro-Węgrami a Niemcami z dnia 23 maja r. 1881?“

Boże! Chroń mię od moich przyjaciół!— myślał sobie zapewne hr. Kalnoky, słuchając mowy dr. Czerkawskiego i jego strasznie kłopotliwych zapytań; głośno jednak oznajmił tylko, że odpowie przy innej sposobności, bo jest nieprzygotowany na odpowiedź.

Wierzymy temu mocno, ale nauczeni doświadczeniem po niedawnej odpowiedzi hr. Taaffego możemy mieć nadzieję, że i hr. Kalnoky za kilka dni odnajdzie furtkę, którą się wymknąć potrafi. Scenerya wprawdzie nieco odmienna, ale że rzecz ostatecznie ta sama a aktorowie z jednej szkoły, gra powinnaby wypaść mniej więcej tak samo. Dziura będzie znowu załataną... do czasu.

Co do interpelacyi samej zauważymy, że jest śmielszej natury niż poprzednia i dalej sięga; w szczególności porusza prawa wzajemności międzynarodowej i nie zapomina o tem, jaka narodowość najbardziej dotkniętą została edyktem a nadto przypomina pewne, już może zapomniane, traktaty... W trzeciem pytaniu jest mała furtka dla rządu austr.: „Jakich sposobów myśli c. k. rząd użyć w *drodze dyplomatycznej* itd.“ brzmi pytanie—dodatek o drodze dyplomatycznej był chyba tym razem zbyteczny. Czyżby interpelant przypuszczał możliwość innej? Wolne żarty.

Leszek.

NIESZCZĘŚLIWE WYPADKI
w fabrykach.

W ciągu jednego tygodnia, z tej samej przyczyny — pęknięcia kotła w pruszkowskiej fabryce igieł i w gorzelni na Wołyniu—15 ludzi poniosło śmierć lub kalectwo. Wypadki te, których nie można chyba objaśnić zwyczajnym frazesem: „z własnej nieostrożności pracujących,“ nasunąć powinny pytanie: ilu też ludzi ginie u nas rocznie wskutek niezachowania przepisów ostrożności lub karygodnego niedbalstwa przedsiębiorców? Statystyka milczy w tym przedmiocie, ale zestawienie porównawcze z wykazami wypadków w innych krajach może nam dać przybliżone pojęcie o liczbie ofiar „rozwoju przemysłowego.“ W Anglii cyfra zdarzeń nieszczęśliwych, dzięki surowej i gorliwej działalności inspektorów, zmniejsza się ciągle i obecnie na 220 robotników bywa rocznie jeden skaleczony lub zabity, kiedy w 1872 r. liczono jednego na 210, a w 1850 na 143.

Ale stosunki angielskie, normowane wpływem szczegółowo rozwiniętego prawodawstwa fabrycznego i ścisłym dozorem inspektorów nie mogą służyć za miarę do porównania, przyjrzyjmy się więc wykazom niemieckim. W Saksonii w 1872 r. jedno nieszczęście przypadało na 43, a w 1873 na 44 robotników, chociaż tam już od 1861 r. istniało prawo o odpowiedzialności fabrykantów, a od 1869 dozór rządowy. Zdaje się, że ten sam stosunek liczbowy przyjąć możemy dla naszego kraju, zwłaszcza że kontrola rządowa i to w ograniczonym zakresie, działa dopiero od kilku miesięcy, odpowiedzialność zaś prawna, jakkolwiek przewidziana w kodeksie cywilnym, w praktyce zdarza się bardzo rzadko. Według danych urzędowych za rok 1882 fabryki i zakłady przemysłowe w królestwie zatrudniały 116,000 robotników. Odtrącając 16,000 na zajęcia, które raczej do rzemiosł zaliczyć można, i zmniejszając stosunek procentowy nieszczęść do 1 na 50, otrzymamy 2,000 wypadków śmierci lub kalectwa rocznie. Przypuśćmy jednak, że i ta cyfra jest przesadzoną, zmniejszmy ją do połowy, zawsze jeszcze wypadnie około 1,000 ofiar

---

Mówił śmiało, tonem deklamacyjnym i tak czysto, że najmniejszy wyraz słychać było w głębi wielkiej sali:

— Prezydencie, ponieważ nie chcę iść do domu waryatów i przenoszę nad to nawet gilotynę, powiem prawdę:

— Zabiłem tego mężczyznę i tę kobietę, ponieważ — byli oni moimi rodzicami. Teraz słuchajcie mię i sądźcie. Kobieta, wydawszy na świat syna, oddała go gdzieś na mamki. Wiedziałaż ona, gdzie jej spólniczka zaniosła tę małą, niewinną istotę, skazaną na wieczną nędzę, na wstyd nieprawego urodzenia i co więcej—na śmierć, ponieważ ją opuściła, ponieważ mamka, nie otrzymując pensyi miesięcznej, mogła, jak one to robią często, pozwolić jej zginąć, cierpieć głód, umierać z nędzy. Kobieta, która mię karmiła, była uczciwą, uczciwszą, więcej kobietą, szlachetniejszą, więcej matką, niż własna matka. Wychowała mię. Zbłądziła może, spełniając swój obowiązek. Lepiej jest pozwolić ginąć tym nieszczęśliwym, tułającym się po wsiach, przytykających do przedmieść, wyrzuconym jak niepotrzebne śmiecie. Wzrosłem z tem uczuciem nieokreślonem, że noszę na sobie hańbę. Inne dzieci nazywały mię kiedyś „bękartem.“ Nie wiedziały, co znaczy ten wyraz, usłyszany przez jedno z nich od rodziców. I ja nie znałem jego znaczenia, lecz przeczuwałem je. Byłem, mogę powiedzieć, jednym z najzdolniejszych w szkole. Byłbym uczciwym człowiekiem, panie prezesie, człowiekiem wyższym od innych, gdyby rodzice moi nie byli popełnili zbrodni, opuszczając mnie. Tę zbrodnię popełnili oni. Byłem ofiarą — oni winowajcami. Byłem bezbronnym — oni nie mieli nademną litości. Obowiązkiem ich było kochać mię, nie odrzucać. Winienem im był życie — ale czyż życie jest darem. Moje w każdym razie było tylko nieszczęściem. Po ich haniebnem opuszczeniu winien im byłem tylko zemstę. Popełnili oni względem mnie czyn najwięcej nieludzki, najohydniejszy, najpotworniejszy, jaki można popełnić względem istoty żyjącej. Człowiek znieważony uderza, człowiek okradziony odbiera swe dobro siłą. Człowiek oszukany, wyszydzony, umęczony—zabija; człowiek spoliczkowany—zabija. Ja zostałem więcej okradziony, oszukany, umęczony, spoliczkowany moralnie, zhańbiony, niż wszyscy ci, których złość rozgrzeszacie. Zemściłem się, zabiłem. Prawo to słusznie mi przysługiwało. Zabrałem ich życie szczęśliwe w zamian za moje straszliwe, które mi nakazali. Powiecie, że to zbrodnia ojcobójstwa. Byliż oni moimi rodzicami, oni, dla których byłem wstrętnym ciężarem, postrachem, plamą sromotną; dla których moje urodzenie było klęską, a moje życie groźbą wstydu? Szukali samolubnej przyjemności — przeznaczenie dało im niespodziewanie dziecko — usunęli je więc. Przyszła na mnie kolej oddać im wet za wet.

Pomimo to ostatecznie jeszcze byłem gotów kochać ich.

Dwa lata temu, jak to już mówiłem, ten człowiek, mój ojciec, wszedł do mnie po raz pierwszy. Nie podejrzewałem wtedy nic. Obstalował u mnie dwa jakieś sprzęty. Dowiedziałem się później, że pytał on o mnie proboszcza, naturalnie, pod największym sekretem. Zachodził do mnie często, dawał mi robotę i płacił dobrze. Czasami nawet rozmawiał o tem lub owem. Ja czułem dla niego sympatyę. Na początku tego roku przyprowadził swą żonę, a moją matkę. Kiedy weszła, drżała tak silnie, że zdawało mi się, iż cierpi chorobę nerwową. Poprosiła o krzesło i szklankę wody. Nie mówiła nic; patrzyła na meble wzrokiem obłąkanym i odpowiadała tylko: *tak* i *nie*, często niewłaściwie, na wszystkie pytania, jakie jej zadawałem. Następnego miesiąca znowu przyszła do mnie. Była spokojną, panią siebie. Tym razem bawili dosyć długo, rozmawiali i zrobili duży obstalunek. Widziałem ją jeszcze trzy razy, niczego się nie domyślając. Ale oto jednego dnia zaczęła mi mówić o mojem życiu, dzieciństwie, rodzicach. Odpowiedziałem jej: moi rodzice byli nikczemni, gdyż mnie opuścili. Wtedy poniosła rękę do serca i padła bez zmysłów. Pomyślałem zaraz: to moja matka, ale starałem się nie dać tego po sobie poznać. Chciałem, żeby tu jeszcze raz przyszła. I ja zebrałem także trochę wiadomości. Dowiedziałem się, że się pobrali dopiero zeszłego lipca

rocznie. Sądzę, iż nawet pp. przedsiębiorcy przyznają, że rachunek ten prowadzę po „gentelmańsku“ i odrazu bez targu ustępuję im 50%, z uwagi na ciężkie czasy dla naszego przemysłu. W 1875 r. statystyka pruska naliczyła w prowincyi szlązkiej 1,184 nieszczęśliwych wypadków na ilość robotników, nie wiele różniącą się od ich sumy w królestwie. Dla dokładności porównania wziąć trzeba przytem na uwagę ostrożność niemiecką i silny rygor prawodawstwa fabrycznego pruskiego. Pomimo tych warunków, wpływających bezwątpienia, (jak tego dowodzi przykład Anglii) na zmniejszenie liczby nieszczęść, w jednem tylko przemyśle górniczym ginie rocznie w Prusach 600 ludzi a 1,600 ponosi mniej lub więcej ciężkie rany. P. Skalkowskij, w dziele swem p. t. *Tableaux statistiques de l'industrie des mines en Russie en 1868—1876* oblicza, że w Cesarstwie liczba nieszczęśliwych wypadków w górnictwie wynosi rocznie 410 (153 śmiertelnych). Według prof. Janżuła, inspektora fabrycznego moskiewskiego, w Moskwie w 1878 r. było 194 wypadków śmierci lub kalectwa robotników. Wobec tych świadectw podana powyżej cyfra jest bardzo skromną.

Statystycy niemieccy obliczają, że tylko 14% wypadków nieszczęśliwych należą do tych, których nie można uniknąć pomimo najtroskliwszego dozoru. Działalność inspektorów rządowych wpłynęła wszędzie bardzo skutecznie na zmniejszenie liczby ofiar, więcej jeszcze może przyczyniły się do tego usiłowania fabrykantów w tych krajach, gdzie prawo określa jasno i stanowczo odpowiedzialność przedsiębiorców. Najbardziej znaną i najobfitszą w pomyślne skutki jest działalność stowarzyszenia przemysłowców w Mülhouse — p. n. *Association pour prevenir les accidents des machines*, na czele którego stanął znany filantrop Engel-Dollfus. Towarzystwo wydaje przepisy, obowiązujące wszystkich członków, utrzymuje własnego inspektora i wyznacza nagrody za wynalazki nowych przyrządów, zabezpieczających życie i zdrowie robotnika. Dzięki energii i dobrej woli członków towarzystwa, liczba nieszczęśliwych wypadków zmniejszyła się w ciągu lat 5 o 21% i w 1876 roku jedna katastrofa przypadała na 270 robotników. Równie dobrymi rezultatami poszczycić się może *Societé de protection des apprentis et des enfants employés dans les manufactures*, którego działalność zamyka się w obrębie Paryża.

Bardzo często przyczyną nieszczęść bywa pęknięcie kotła, zwłaszcza tam, gdzie nie ma żadnej kontroli w tym względzie. W Anglii od 1866 do 1876 r. według prof. Janżuła, z przyczyny tej zginęło 764 ludzi a 1,273 otrzymało rany. Tymczasem właściwy dozór, według zdania znakomitego inżeniera angielskiego Fairbairna, mógł zupełnie prawie usunąć tego rodzaju nieszczęśliwe wypadki. Ponieważ pęknięcie kotła stanowi dotkliwą stratę materyalną dla przedsiębiorcy, więc też fabrykanci angielscy, francuscy i niemieccy z własnego popędu zawiązali stowarzyszenia, które mają na celu dokładne dozorowanie kotłów. We Francyi istnieje „Stowarzyszenie właścicieli machin parowych,“ w Anglii i Ameryce działa kilka towarzystw, które liczą pod swym dozorem około 80,000 kotłów. Pomyślne rezultaty działalności towarzystw tego rodzaju wymownie stwierdzają cyfry. Podczas gdy w całej Anglii jedno pęknięcie wypada rocznie na 2,000 kotłów, w zakładach przemysłowych, dozorowanych przez *Stowarzyszenie manchesterskie* tylko 1 na 6,500 a w *Towarzystwie ubezpieczania kotłów parowych* 1 na 6,845. W Niemczech istnieje w tym celu około 30 prywatnych towarzystw, pod kontrolą których znajduje się przeszło 16,000 kotłów. Jakkolwiek dozór rządowy w tym kraju jest bardzo ścisły, towarzystwa działają tak dobrze, że władza zgodziła się na uwolnienie ich od inspekcyi.

W Rosyi, według zdania p. Popowa, specyalnie badającego tę sprawę, pęknięcia kotłów zdarzają się bardzo często, przyczyną zaś jest brak wszelkiego dozoru ze strony władzy i nizki stopień wykształcenia technicznego przedsiębiorców i dyrektorów fabryk. Zdanie to z pewnemi zmianami zastosowane być może i do Królestwa. Jakkolwiek bowiem dyrektorowie zakładów przemysłowych posiadają zwykle wykształcenie specyalne, ale obowiązki maszynisty, nawet w większych fabrykach, powierzane są niejednokrotnie samoukom.

Oprócz kilku przepisów i rozporządzeń administracyjnych o próbowaniu kotłów, prawodawstwo pomija milczeniem tę sprawę. Dozór wprawdzie istnieje, ale zorganizowany w ten sposób, że z góry skazany jest na bezczynność. Inspekcya kotłów należy do zakresu czynności mechanika gubernialnego, który nie pobiera żadnej stałej pensyi a natomiast posiada tylko prawo otrzymywać za dokonaną robotę wynagrodzenie od fabrykantów, „według umowy dobrowolnej.“ Rozumie się, że technik zależny materyalnie od przedsiębiorców, nie może wykonywać ściśle kontroli. Zresztą instrukcya nakazuje mu oglądać kotły raz na 3 lata, kiedy np. towarzystwa prywatne angielskie czynią to raz na 3 miesiące.

Komisya pod przewodnictwem p. Plewego, której zadaniem jest opracowanie przepisów prawodawstwa fabrycznego, zwróci bezwątpienia uwagę na tę sprawę, rozszerzając zakres działalności inspektorów fabrycznych, powierzy im dozór nad zachowaniem koniecznych środków ostrożności. Ale jak pokazuje przykład państw zachodnio-europejskich, inspekcya rządowa, posiadająca taki szeroki zakres działania — jak np. w Anglii — nie wystarcza i współudział przedsiębiorców jest pożądanym, a nawet niezbędnym. Własny interes przemysłowców, pomimo względów filantropijnych, skłonić ich powinien do zawiązania towarzystwa ubezpieczenia i dozoru kotłów parowych. Według obliczeń inżenierów niemieckich, gdyby troskliwa inspekcya przedłużyła na rok tylko termin używalności kotła, to właściciel zyskałby na tem przeciętnie około 3,000 rs. Nie wiemy, ile w kraju naszym znajduje się kotłów parowych, zawsze jednak jest ich dosyć, ażeby umożliwić zawiązanie stowarzyszenia prywatnego. W Niemczech przecie na jedno towarzystwo przypada średnio tylko 500—600 kotłów. Otrzymanie pozwolenia rządu nie powinno przedstawiać żadnej trudności, zwłaszcza wobec tego, że władza zwróciła szczególną uwagę na sprawę prawodawstwa fabrycznego.

W Królestwie zresztą pp. przedsiębiorcy znaleźć powinni pobudkę do działania w tej okoliczności, że obowiązujące prawo cywilne określa wyraźnie odpowiedzialność fabrykantów.

Komisya parlamentarna we Francyi orzekła, że przepisy kodeksu Napoleona nie przedstawiają żadnej wątpliwości w tym

---

i że moja matka była poprzednio wdową od trzech lat. Szeptano też, że się kochali za życia pierwszego męża, ale nie było na to żadnego dowodu. Ja to byłem dowodem, dowodem, który ukrywano z początku, mając nadzieję zniszczyć go w przyszłości. Czekałem. Zjawiła się pewnego wieczoru w towarzystwie mego ojca. Tego dnia wydawała się bardzo wzruszoną, nie wiem dlaczego. Odchodząc powiedziała mi: Życzę ci dobrze, bo masz minę uczciwego chłopca i robotnika; niedługo zapewne pomyślisz o ożenieniu się: pomogę ci w wyborze żony, którąby ci się podobała. Ja raz wyszłam za mąż niezgodnie z mojem sercem i wiem, ile to sprowadza cierpień. Teraz jestem bogata, bezdzietna, swobodna, pani mego majątku. Oto masz tu na zagospodarowanie się.

I dała mi dużą kopertę zapieczętowaną.

Popatrzyłem na nią uważnie i rzekłem: „Jesteś moją matką?“

Cofnęła się o trzy kroki i zakryła oczy ręką, aby mię nie widzieć. On, mój ojciec podtrzymywał ją, wołając: „Oszalałeś chyba!“

Odpowiedziałem mu: „Wcale nie. Wiem dobrze, że jesteście moimi rodzicami. Nie tak łatwo mię oszukać. Przyznajcie to, a zachowam tajemnicę, nie będę miał do was żalu; pozostanę, czem jestem, to jest stolarzem.“

Cofał się ku wyjściu, podtrzymując ciągle żonę, która zaczęła łkać. Pobiegłem zamknąć drzwi, włożyłem klucz do kieszeni i znów zacząłem: „Popatrz że na nią i zaprzecz jeszcze, że ona jest moją matką!“

Wtedy uniósł się, zbladł, przerażony myślą, że skandal unikany dotąd, mógł nagle wybuchnąć; że ich położenie, ich sława, honor upadłyby odrazu. Zaczął jąkać: „Jesteś szelmą, chcesz od nas pieniądze wyłudzić. Tak to jest robić dobrze ludowi, tym gburom, wspomagać ich i ratować.“

Moja matka zrozpaczona powtarzała ciągle: „Chodźmy chodźmy.“

Ponieważ drzwi były zamknięte, zawołał: „Jeżeli mi nie otworzysz w tej chwili, każę cię wpakować do więzienia za gwałt.“

Pozostałem panem siebie, otworzyłem drzwi, a oni zniknęli w ciemności.

Wtedy doznałem uczucia, jakbym nagle został sierotą opuszczonym, strąconym w przepaść. Ogarnął mię straszny smutek, połączony ze złością, nienawiścią, zniechęceniem; cała moja istota powstawała, oburzała się przeciw sprawiedliwości, honorowi, odrzuconemu uczuciu. Zacząłem gonić ich brzegiem wzdłuż Sekwany, drogą, którą musieli iść, aby się dostać na dworzec kolei w Chateau.

Wkrótce ich dopędziłem. Zapadła noc czarna. Szedłem cicho po trawie, tak, że mię nie słyszeli. Matka moja płakała ciągle. Ojciec zaś mówił: „To twoja wina. Co ci zależało na tem, aby go koniecznie widzieć. Było to szaleństwem w naszem położeniu. Można było wspomagać go zdaleka, nie pokazując się. Nie możemy go przecież uznać, na cóż więc zdały się te niebezpieczne odwiedziny?“

Usłyszawszy to, rzuciłem się ku nim, błagając: Widzicie więc, że jesteście moimi rodzicami. Odrzuciliście już raz, odepchniecież mnie i teraz?

Wtedy, panie prezesie, on podniósł rękę na mnie, przysięgam to na honor, na prawo, na Rzeczpospolitą. Uderzył mię, a kiedy ja chwyciłem go za kołnierz, wyciągnął z kieszeni rewolwer.

Czerwono mi się zrobiło przed oczami, nie wiedziałem, co się ze mną dzieje, miałem w kieszeni cyrkiel, uderzyłem go nim tak silnie, jak tylko mogłem.

Ona zaczęła krzyczeć: Na pomoc! zbrodniarz! wyrywając mi brodę. Zdaje się, że i ją zabiłem także. Czyż ja wiem, co robiłem wtedy?

Potem zobaczywszy leżących oboje na ziemi, wrzuciłem ich do Sekwany, nie zastanawiając się nad tem, co robię.

Otóż i wszystko. A teraz sądźcie mnie.

* *

*

Obwiniony usiadł. Wskutek tego wyjawienia sprawa odłożoną została do następnego posiedzenia. Odbędzie się ona niedługo. Gdybyśmy byli sędziami, cobyśmy zrobili z tym ojcobójcą?

względzie i zabezpieczają dostatecznie interesy robotników, tak że nie potrzeba wcale nowych postanowień w ustawodawstwie fabrycznem. Właściciele zakładów odpowiadają nietylko za szkody i straty, które powstały z ich własnej winy, ale i z winy swych służących i podwładnych. Według zaś wyroków Sądu kasacyjnego, właściciel odpowiada nietylko za wszelkie nieszczęśliwe wypadki, których przyczyną były należące doń maszyny, ale nawet „każde pęknięcie kotła uważać należy jako rezultat winy właściciela, który odpowiedzialny jest za wszystkie szkody poniesione przez osoby trzecie.“

Dotychczas ofiary nieszczęśliwych wypadków i ich rodziny rzadko bardzo dochodzą słusznych praw swoich na drodze prawnej, niema wszakże wątpliwości, że droga ta jest dla nich otwartą i prowadzi do otrzymania należnego zadośćuczynienia. Zresztą sprawie tej poświęcimy oddzielny artykuł, teraz zaś zwracamy tylko na nią uwagę przedsiębiorców w ich własnym interesie.

P.

O UNIWERSYTECIE GENEWSKIM.

Wykłady w uniwersytetach szwajcarskich rozpoczęły się i jest to chwila właściwa do powiedzenia słów kilku o najmłodszym śród nich, genewskim, który przebył już lata próby i znajduje się teraz wobec zapytania: czy pozostać ma nadal, jak jest, czyli też należy go zreformować? Kwestya reformy w odniesieniu do zakładu tego postawioną została z trzech naraz stron: ze strony publiczności, która koszta utrzymania ponosi; ciała nauczającego, które jest za honor instytucyi odpowiedzialnem; rządu, którego odpowiedzialność rozciąga się na wszystko, co wszechnicy dotyczy, ze względu na to, że władza, jaką rząd genewski w sprawach uniwersyteckich posiada, jest nieograniczoną. Od rządu, a raczej od tego członka rady stanu, który jest naczelnikiem departamentu oświaty, zależy: mianowanie i usuwanie profesorów, zaprowadzanie i znoszenie katedr, podnoszenie i obniżanie wykładającym pensyi, prowadzenie administracyi, czuwanie nad budynkami i zakładami do uniwersytetu przyłączonymi, słowem — wszystko. Senat akademicki odgrywa rolę bierną; rola zaś publiczności wyraża się za pomocą kontroli, dzięki której rząd w razie, gdyby zaufanie publiczne zawiódł, może być pozbawionym władzy.

Władza taka dziwnie nieco wygląda w respublice, rządzonej wedle zasad demokratycznych, stosowanych do innych życia publicznego czynników. Tłomaczy się ona jednak. Demokracya przyszła w Genewie po arystokracyi i w spadku po niej dostała pewne atrybucye rządowe, których dla powodów takich i innych nie usunęła. Śród atrybucyj tych znalazła się władza nieograniczona departamentu oświaty i pozostała taką, jaką była przed rokiem 1847, kiedy rząd spoczywał w ręku klasy uprzywilejowanej. Uniwersytet dzisiejszy mianował się w czasach owych „akademią.“ Akademia wyprowadzała pochodzenie swoje od Kalwina; stopniowo się rozwijała, rozszerzała i wzięłość sobie w dwóch mianowicie zdobywała kierunkach: znakomicie wykładano w niej nauki przyrodnicze i teologiczne; posiadała przytem zaletę jedną bardzo ważną, tę mianowicie, że w budżecie wydatków publicznych zajmowała miejsce bardzo skromne. Kraj ciężaru oświaty nie czuł zgoła: na zbiory, gabinety i pracownie nie wydatkował, gmachów nie stawiał, profesorów opłacał, ale te opłaty nie przechodziły fr. 1,500 rocznie, co sprawiało, że katedry zajmowali ludzie zamożni, którzy nauczali przez zamiłowanie nauki i przez patryotyzm. Profesorowie ci nie tylko pensyi nie pobierali, ale jeszcze kosztem własnym gromadzili zbiory, zakładali gabinety, utrzymywali laboratorya i w testamentach na akademią czynili zapisy. Obok nich zdarzali się i ubożsi; ci atoli zmuszeni byli dochody swoje sztukować zajęciem po za akademicznem. Znakomity Töpfer był profesorem miernym dla tego, że całkowicie oddawał się pensyonatowi prywatnemu, którym kierował. Zdarzało się i tak, że, w braku odpowiedniego śród ludzi bogatych profesora, botanik (Vaucher) wykładał historyą kościelną. W warunkach takich akademia istnieć mogła za pieniądze bardzo tanie; lecz, pozostając wyłącznie na łasce ludzi bogatych i amatorstwa naukowego, nie miała przyszłości zapewnionej i nie mogła liczyć, że na drodze postępu naukowego będzie się trzymała równo z zakładami naukowymi wyższymi, zagranicznymi, a nawet i szwajcarskimi. Akademia lozańska już ją wyprzedzać poczynała; newszatelska nie ustępowała jej; z uniwersytetami bazylejskim, zurichskim i berneńskim iść w zawody nie mogła. Łaska pańska, dopisująca jej chwilowo w ten sposób, że wypadkowo katedry zajmowały takie, jak de Candolle, Pictety, Aderty, Naville znakomitości, nie stanowiło podstawy pewnej. Przemawiało za nią to jeno, że kontrybuenci nie dawali na utrzymanie szkoły wyższej więcej, niż 46,672 fr. rocznie, nie zaś 345,262 wyznaczonych—po wprowadzeniu wszelkich możliwych oszczędności—w budżecie tegorocznym. To atoli nie zapewniało podstawy. Taniość nie ręczyła za przyszłość. Należało we względzie tym ubiezpieczyć zakład inaczej. Przemyśliwano o tem i ubezpieczenie przyszło samo przez się, dzięki rewolucyi, która klasę uprzywilejowaną od władzy usunęła i okazała się troskliwszą o akademię. Duszą przewrotu był pamiętny w dziejach rzeczypospolitej Genewskiej James Fary. Zajął się on oświatą gorliwie i zainteresował nią ogół. Niektórzy z profesorów, co daremnie wykładali, sami ustąpili, inni usunięci zostali; miejsca ich pozajmowali ludzie dobrze płatni, ściśle dozorowani i mający na odpowiedzialne rozporządzenie swoje zbiory, gabinety, pracownie utrzymywane kosztem publicznym. Gdy śród genewczyków osobistości odpowiednich do zajmowania katedr nie znajdowano, zwracano się do zagranicy — sprowadzać zaczęto cudzoziemców. Akademia się zdemokratyzowała i skosmopolityzowała, ale koszta utrzymania jej rosły, i ostatecznie do budżetu wprowadziły nieznany za dobrych dawnych patryarchalnych czasów: deficit.

Genewa tytułuje się urzędowo „Rzeczpospolitą genewską“ i jest państwem—państwem od roku 1874 federacyjnie uzależnionem, ale we względzie zarządu wewnętrznego całkowicie niezawisłem. Państwo to na przestrzeni $5\frac{1}{2}$ mili kw. liczy, wedle spisu z roku po za przeszłego 101,595 mieszkańców. Do skromnych tych rozmiarów stosują się dochody i stosować się powinny rozchody. Te ostatnie przedstawiciele narodu obliczają w roku każdym ze ścisłością całą, przekreślają każdy wydatek, mający pozór zbytku i nie mogą dokazać tego, ażeby końce związać. Mimo oszczędność jak najściślejszą końce się nie związują, a jeżeli się i ściągną w roku którym, to się znów w następnym rozchodzą. W rubrykach wydatków na sprawy wewnętrzne, zewnętrzne, sprawiedliwość, porządek i bezpieczeństwo, roboty publiczne i gospodarstwo, siłę zbrojną, kościół—okroić cokolwiek nie sposób. Pozostaje oświata a w niej przeistoczony z akademii uniwersytet, pochłaniający rok rocznie kwotę, której — już nie usunięcie, ale przepołowienie—umniejszenie zresztą o część trzecią, czwartą—przyprowadziłoby do zgody dochody z rozchodami.

— Czy nie zbytek to — uniwersytet?... — zapytała opozycya, i z zapytania tego uczyniła punkt wychodni agitacyi przeciwko rządowi, który, idąc we wskazanym przez James Fary'ego kierunku, wydatki na oświatę ciągle podnosi. Wydatki te spotęgowały się od chwili założenia uniwersytetu.

O nim słów kilka rzec wypada. Rząd federalny postanowił wziąść na koszt związku szwajcarskiego dwa wyższe zakłady naukowe: szkołę politechniczną i uniwersytet. Na mocy postanowienia tego otworzoną została politechnika w Zurichu—w Szwajcaryi niemieckiej: Szwajcarya przeto francuska miała pretensyę do uniwersytetu; że jednak uniwersytetu do ofiarowania federacyi nie posiadała, więc Genewa, dla postawienia czynu dokonanego i zneutralizowania z góry roszczeń, z jakiemi by wystąpić mogły Lozanna i Newszatel, akademię swoją, przez wprowadzenie do niej wydziału lekarskiego, przerobiła na uniwersytet. Na to poszedł nakład znaczny; federacya zaś tymczasem przyprowadzenie postanowienia swego w czyn wstrzymała. Sprawa ta w zawieszeniu na czas nieograniczony pozostaje i rzeczpospolitę genewską ciężarem dotkliwym, przygniotły wydatki tak nakładowe, jakoteż corocznie na utrzymanie zakładu w budżecie państwowym zamieszczone. Trzeba bowiem było stawiać budynki nowe, urządzać pracownie naukowe, prosektorya, gabinety, muzea; zaszła potrzeba katedry powierzać cudzoziemcom (Karol Vogt, Schiff, Zahn, Graebe, Laskowski), ofiarując im pensye wyższe, aniżeli pobierana przez prezydenta rzeczypospolitej. Z tego powodu uniwersytet, z założeniem którego Genewa się pospieszyła, pomawiany być może o zbytek.

— Zbytek!. — twierdzi opozycya stanowczo. Akademia dawniejsza potrzebom krajowym aż nadto zadość czyniła i, po przejściu nawet pod zarząd stronnictwa radykalnego nie obciążała finansów państwowych.

Sama atoli najbardziej zachowawcza opozycya z zamiarem zniesienia uniwersytetu nie występuje. Wyradza się stąd pytanie: co z fantem tym robić? Jaka odpowiedź po głowach genewczyków stronnictw wszelakich snuje się i na ustach im wisi wyraz: reforma.

Uniwersytet zreformować należy w sposób taki, ażeby i bytu jego nie nadwerężyć i finansom państwowym ciężaru umniejszyć. Wieloznaczący przeto wyraz „reforma,“ pod którym by to i owo rozumieć można, tyczy się głównie kwestyi pieniężnej. W gruncie rzeczy chodzi o wyspekulowanie dla uniwersytetu taniości, bez obniżenia stopy powagi, na jakiej w ciągu krótkiego swego istnienia stanął.

Zadanie to do rozwiązania trudne i dlatego, że trudne, wywołało krytyk i projektów sporo, bądź to występujących na szpaltach dziennikarskich, bądź też podawanych departamentowi oświaty. Krytyki dotyczą głównie wszechwoczy rządu w zawiadownictwie uniwersytetem; projekty błądzą w labiryncie bez wyjścia. Z tych ostatnich wezmę jeden, przedstawiony publiczności w broszurce, napisanej przez p. M. Thury, profesora botaniki, który mi się wydaje najbardziej racyonalnym. Projekt ów na następujących opiera się punktach:

1-o. Wyszczególnić na drodze ustawodawczej liczbę i naturę wykładów podstawowych i powierzyć je profesorom zwyczajnym, tak płatnym, ażeby nauczanie stanowiło dla nich karyerę i warunki bytu materyalnego nie odrywały ich od pracy w laboratoryach, owocnej wówczas jeno, kiedy jest ciągłą.

2-o. Zaprowadzić wykłady uzupełniające i powierzać takowe prywat-docentom i repetytorom (*maîtres, chargés de cours*); repetytorowie pobierać mają skromne wynadgrodzenie i nie zajmować katedr dłużej

jak lat trzy, a to dlatego, ażeby „jak najmniej kandydatów usuwać, szczególnie zaś unikać wywoływania pretensyi i sporów, jakieby nastąpić musiały, gdyby nauczanie dodatkowe, stawszy się stałem, sprowadziło kawałkowanie katedr."

Punkt drugi ma być wabikiem na młodzież genewską bogatą, któraby w bezpłatnej prywat-docenturze znajdowała zaszczytną do służenia sprawie publicznej drogę i w sposób ten przyczyniała się do umniejszenia ilości katedr stałych i wydatków na opłacanie profesorów zwyczajnych. Czy jednak zaręczyć można, że kandydatów na prywat-docentów znajdzie się zawsze ilość dostateczna? Czy możliwem jest spuszczanie się z góry na jakość kandydatów tego rodzaju? Projekt pana M. Thury doradza powracanie inną drogą do systemu dawniejszego — do obywania się siłami własnemi, bez pomocy cudzoziemców — i nie zapewnia oszczędności. Wypowiada on potrzebę opłacania należytego profesorów zwyczajnych. Obecnie profesorowie zwyczajni — cudzoziemcy — opłacani są należycie, dwa i trzy razy lepiej, aniżeli zwyczajni krajowcy, którzy wykładają takie, naprzykład, przedmioty, jak klinika medyczna (dziewięć godzin tygodniowo), klinika chirurgiczna (również dziewięć godzin), patologia wewnętrzna (cztery godziny), etc. Ten, co patologię wewnętrzną wykłada, dostaje rocznie franków 750 (rs. 300). Nie lepiej płatnym jest profesor, co (pięć godz. tygodn.) naucza anatomii mikroskopowej porównawczej, morfologii ogólnej i transformizmu, ze szkatuły własnej do laboratoryum dokłada i asystentów opłaca. Wszystkich tych honorarya należałoby, idąc za radą p. M. Thury, podnieść i zrównać z honoraryami cudzoziemców, których naliczyliśmy nie więcej jak pięciu, na ogólną liczbę pięćdziesięciu i jeden profesorów zwyczajnych. Liczbę tę możnaby do trzech czwartych — do połowy może — zmniejszyć, ale i w razie takim byłoby jeszcze profesorów dwudziestu, którym honorarya z 4,000 fr. *maximum* podnieść by należało do 8,000 fr. *minimum*. Wypadło by stąd minimalne powiększenie wydatków rocznych o 80,000 fr. Na to rady niema. „Nie miała baba kłopotu, kupiła sobie..." — uniwersytet, w którym, tak samo jak za czasów rządów arystokratycznych, profesorowie krajowcy, wykładając pół darmo, z czasu swego i z nauki swojej czynią ofiarę patryotyczną. Jedyna przeto oszczędność przedstawia się pod postacią zastąpienia krajowcami cudzoziemców, oszczędność, niedochodząca — co najwyżej — fr. 20,000, a zatem tak szczupła, że polepszyć ona nie może finansów państwowych. Więc — i cóż?... Genewczycy — naród, uchodzący za bardzo praktyczny i głęboko rachunkowy — na zapytanie powyższe odpowiadają:

— Jakoś to tam będzie...

I nie ma na to odpowiedzi innej.

Państwo, pozostające pod zarządem radykałów, sprawiło sobie uniwersytet; miasto, którem zawiadują konserwatyści, postawiło teatr wspaniały, będący także tym kłopotem, który sobie baba kupiła. Jedno i drugie, rozmyślając nad smutnemi kupna tego następstwami, pociesza się, że: „jakoś to tam będzie."

Pociecha ta, znajoma nam bardzo dobrze, nasza bowiem własna, świadczy, że pomiędzy genewczykami a nami zachodzi pewne powinowactwo duchowe. Dzięki powinowactwu temu, nastąpiła pomiędzy nami wymiana. Jak nam oni udzielali dawniej „nowinek genewskich," tak my im udzieliliśmy obecnie — pociechy.

Jakoś to tam będzie. I teatr się ostoi; i uniwersytet się utrzyma: będziemy przeto, jak dotychczas, tak i nadal wyczytywali na liście lazureatów nazwiska spółziomków naszych płci obojga, poszukujących światła nad lazurowemi toniami Lemanu. Przed wakacyami polek cztery—panny Silberstein, Thorner, Muszkat i Jakóbowska, po wakacyach dwie—pani Krajewska i panna Stefanowska—otrzymały pierwsze święcenia uniwersyteckie. Jedna z nich jest stypendystką z funduszu Krystyna Ostrowskiego, druga dostała stypendyum od *Alliance Israélite* pod warunkiem, ażeby się nie oddawała studyowaniu medycyny (?). Przy warunku tym postawiłem znak zapytania—tego nie rozumiem.

T. T. Jeż.

EGOIZM I ALTRUIZM

(w ekonomii społecznej).

I.

Czy pobudką pracy gospodarczej, to jest mającej na celu zaspokojenie materyalnych potrzeb ludzkich, są wyłącznie widoki korzyści osobistej samego pracownika, czy też owej pracy przewodniczą inne jeszcze cele wyższej, szlachetniejszej natury? Pytanie to w nowszych czasach stało się przedmiotem licznych rozpraw ze strony ekonomistów i socyologów niemieckich. Jedni z nich, jak Menger („Badania o metodzie nauk społecznych") i Dietzel („Przyczynki do metodyki umiejętności gospodarczej"), potwierdzając tylko pierwszą część tego pytania, utrzymują, że jedynie zabiegi egoizmu ludzkiego, ku wytworzeniu dóbr materyalnych skierowane, należą do dziedziny ekonomii społecznej. Inni, a pomiędzy nimi Roscher i Schaeffle, są zdania, że cała ekonomia społeczna przedstawia dwa potężne szeregi objawów, z których jeden polega na usiłowaniach człowieka zmierzających ku zjednaniu sobie środków materyalnych do zaspokojenia potrzeb własnych, drugi—na pragnieniu dobra bliźnich. Roscher, z pewną domieszką pojęć teologicznych, tak się wyraża w tym względzie: „Gospodarstwo każde sprowadzić można do dwu sprężyn duchowych: do samolubstwa, czyli popędu ciągnienia zysków—i do wymagań głosu bożego w nas, czyli sumienia. Samolubstwo i sumienie razem wzięte rodzą poczucie solidarności społecznej. Poczucie to stopniowo staje się podstawą życia rodzinnego, gminnego, narodowego i ludzkości całej. Za jego pomocą jedynie urzeczywistnia się królestwo boże na ziemi, zamienia w czyn i obyczaj religia, a samolubstwo prawdziwie i trwale staje się użytecznem. Nawet sam rachujący rozum przyznać musi, że niezmierna liczba urządzeń, stosunków itd. pożyteczną jest lub konieczną dla wielu jednostek, podczas kiedy nawzajem urządzenia te wcaleby istnieć nie mogły bez odpowiednich ze strony jednostek poświęceń dla dobra ogólnego."

Zdanie Schäfflego o tym przedmiocie brzmi tak: „Wobec wszelkiej czynności i zaniechania, tworzenia i stosowania, dawania i odbierania stanowczą jest różnica trojaka: czy mianowicie każdy ściśle obliczony gospodarz dąży do osiągnięcia możliwie największej korzyści dla siebie, czy, dzięki skupiającej władzy publicznej, ma na celu najwyższy, zbiorowy pożytek ogółu, czy wreszcie przy poparciu swobodnej, poświęcającej się ofiarności zmierza ku zupełnemu zaspokojeniu osobistych potrzeb innych ludzi. Stosownie do tej różnicy nadzwyczaj różnorodnie i rozmaicie kształtują się wszystkie gospodarcze związki pracy i mienia pomiędzy ludźmi, to jest wszelkie organizacye w gospodarstwie narodowem."

W tej sprawie z kolei zabiera głos dr. Lotar Dargun, profesor uniwersytetu krakowskiego *).

Wszystkie zjawiska życia ekonomicznego podciąga autor pod dwa czynniki zasadnicze, z których pierwszy mieni egoizmem, drugi — altruizmem. Różnicę pomiędzy pierwszym, a drugim stanowi nie właściwa pobudka psychiczna, lecz pod względem gospodarczym wyłącznie decydującą jest okoliczność, dla kogo *przedewszystkiem* dane działanie zostaje podjętem. Jeśli ktoś, działając, przedewszystkiem ma na oku korzyść własną, postępuje egoistycznie, jeśli, przeciwnie, powoduje się chęcią osiągnięcia korzyści dla osób innych — działanie jego jest altruistycznem. Przytem zawsze pamiętać należy, że na dnie zarówno altruizmu, jako i egoizmu spoczywać mogą pobudki psychiczne najrozmaitszego rodzaju, niewywierające wpływu na ekonomiczny skutek czynów. Czy mąż utrzymuje żonę i dzieci dlatego, że je kocha, czy też dlatego, że stosuje się do wymagań zwyczaju społecznego z obawy potępienia przez świat i opinię — rezultat gospodarczy jeden i ten sam. Nabożność lub mądrze obliczona polityka, pyszałkowstwo i próżność, prawdziwa humanitarność a nawet nienawiść, ku krewnym naprzykład, których pragniemy w ten sposób pozbawić dziedzictwa, mogą wywołać objawy szczodrobliwości ekonomicznie zupełnie sobie równe.

Przechodząc do szczegółów, autor zaznacza, że odkąd istnieje gospodarstwo ludzkie, wpływ na nie najbardziej stanowczy wciąż wywierał egoizm ekonomiczny, głównie z tej przyczyny, że człowiek każdy sobie samemu jest najbliższym i materyalne potrzeby własne czuje najżywiej i w sposób najbardziej bezpośredni. Egoizm ten kiedy niekiedy udawało się słumić i ograniczyć, usunąć — nigdy. Wogólnem pojęciu egoizmu rozróżnia trzy rodzaje: prosty zmysł osobisty (Selbstsinn), sobkostwo czyli egoizm we właściwem znaczeniu (Eigennutz) i samolubstwo (Selbstsucht). Dziedzina prostego zmysłu ekonomiczno-osobistego bardzo jest rozległą. W zakres jej wchodzi wszelka działalność gospodarcza, którą człowiek podejmuje dla samego siebie, dopóki ona nie pokrzyżuje się z również gospodarczemi dążeniami innych ludzi, czyli dopóki przez działalność tę nikt inny bezpośrednio nie ponosi szkody. Należy tu przedewszystkiem czynność pracującego dla samego siebie rolnika, myśliwego, hodowcy, zajętej w domu własnym gospodyni itp. Zmysł osobisty często wiąże się z altruizmem. Pracujący trudzi się dla siebie i dla swoich. O ile dla siebie, trud jego jest wysiłkiem zmysłu osobistego, jest egoistycznym, o ile dla drugich — praca jego staje się altruistyczną. Rola prostego zmysłu osobistego tem bywa większą, im więcej człowiek pojedynczy skazany jest na siły i umiejętność własną, im mniej jest zmuszony drogą wymiany korzystać z owoców pracy cudzej, im mniej wogóle rozwinięte są stosunki społeczne. To też zmysł ten stanowczą ma przewagę w najpatryarchalniejszych, najdawniejszych epokach cywilizacyjnych, mianowicie zaś w pierwszej fazie posiadania, rozciągającej się do ruchomości i nieruchomości wyłącznie indywidualnej. Każdy wtedy żywi się sam, bez udawania się o pomoc do nikogo po za kołem rodziny własnej. Ludzie nie sprzeczają się z sobą o broń najprostszą, o schronisko najpierwotniejsze, bo wszyscy w równych żyją warunkach równego posiadania. Ziemia orna, w czasach późniejszych główny przedmiot zaciętych walk i niesnasek, w takim jeszcze znajduje się nadmiarze, iż zwykle nabytą zostaje przez zawładnięcie, utraconą przez opuszczenie (okupacya i derelikcya), ma zaś wartość pewną jedynie wskutek uprawy przez właściciela. W tym stanie każda rodzina sama myśli o sobie, każdy ojciec ma własne pole, a uprawia je dla siebie i swoich. Każdy przygotowuje sobie broń osobiście, gdyż materyał w do-

---

*) *Egoismus und Altruismus in der Nationalökonomie.* Lipsk.

wolnej ilości ma zawsze pod ręką, a czas na wyrobienie go użyty liczy się za nic.

Cechą sobkostwa czyli egoizmu we właściwem tego słowa znaczeniu, podług Darguna, jest obojętność na korzyść lub szkodę cudzą przy dążeniu do osiągnięcia jaknajwiększego pożytku ekonomicznego dla siebie. Nie ma prawie okresu w dziejach ludzkości, w którymby nie zdarzało się sobkostwo tego rodzaju. Wzajemne stosunki pomiędzy ludźmi tak ciasno i ściśle związane są ze sobą, iż nigdy nie brakowało starć interesów ekonomicznych. Podstęp i wyzyskiwanie istniały i wtedy nawet, kiedy polowanie i rybołóstwo stanowiły główne źródło utrzymania człowieka. Sobkostwo atoli rozwinęło się dopiero wraz z powstaniem handlu, kiedy postęp kultury wytworzył dobra wysokiej wartości, których posiadanie dawało siłę, sławę i szacunek. Prócz rzeczy, przeznaczonych na zaspokojenie potrzeb życia własnego, produkcya pierwotna otrzymuje i takie, które nadają się do wymiany. Włościanin staje wobec handlarza, obcy wobec obcego, każdy dba o to, ażeby kupić o ile możności tanio, a sprzedać możliwie najdrożej, bez względu na szkodę lub korzyść innych. Rodzi się owa potajemna, pod formą pokoju ukryta walka, która jest zwykłem znamieniem swobodnego, pod hasłem egoizmu występującego ruchu handlowego. Handel przyjaźni nie zna—handlowy i egoistyczny—to synonimy prawie. Podczas gdy pod wpływem prostego zmysłu osobistego (Selbstsinn) wszelka korzyść z danego działania gospodarczego osiągnięta idzie na rzecz działającego, nie przynosząc szkody trzeciemu—interesy kupców w zupełnem z sobą zostają przeciwieństwie; im interes jaki korzystniejszym jest dla jednego, tem oczywiście mniej przedstawia korzyści dla drugiego. Nie mając zamiaru wprost szkodzić drugiemu, każdy jednak chce zyskać dla siebie o ile można najwięcej, a dbałość o dobro własne w całości zostawia temu drugiemu. Jeśli ten poniesie szkodę, własna to jego wina; dla czegoż nie przestrzegał sam niezbędnych w takich razach zasad mądrości ekonomicznej?

Trzeci rodzaj egoizmu, samolubstwo (Selbstsucht) jest zdaniem autora, dążeniem do własnych celów ekonomicznych z całą świadomością o wynikającej stąd szkodzie dla osób innych. Zalicza on tu wszystkie przestępstwa przeciwko własności, jako i liczne czyny takie, które, jakkolwiek przez kodeks karny nie napiętnowane, starannie przecież unikane są przez wszystkich ludzi uczciwych. W czynach podobnych upatrywać można zniesienie swobody osobistej przez wyzyskanie cudzej słabości, niewiadomości lub lekkomyślności. Granice wyzyskiwaniu zakreśla jedynie zdolność gospodarcza wyzyskiwanych, oraz stopień ich ciemnoty i słabości. Niezwykły rozrost samolubstwa jest chorobą społeczną i pociąga za sobą straszne przesilenia ekonomiczne. Do walki przeciwko samolubstwu stają wszystkie bez wyjątku dążenia altruistyczne. Zwrócone przeciwko niemu środki obronne stanowią całe systemy prawne; pomimo to atoli potęgi jego dotychczas złamać nie zdołano.

(D. n.).

PO OBU BRZEGACH DUNAJU.

V.

Modre fale Dunaju niosą naszego wędrowca ku bramom Belgradu. Nasuwa mu się wtedy porównanie między Renem i Dunajem. Ren to „posuwająca się naprzód droga,“ dźwigająca na swych barkach mnóstwo podróżnych i towarów; wspaniały Dunaj płynie przez pustkowia i ledwie młyny obraca nadbrzeżne. Skąd ta różnica? Oto Ren bieży ku targowiskom Anglii i Holandyi, Dunaj zaś wpada do morza Czarnego i z morza ku krainom, „dotkniętym jeszcze niedawno przekleństwem tureckiego zaboru.“

U samego wstępu do serbskiej stolicy Laveleye niemile jest dotknięty formalnościami paszportowemi, jakich tu jeszcze żądają władze pograniczne. Zatrzymuje się w belgradzkim „Grand-Hôtel.“ Jest! to, powiada, ogromny budynek, którego sale przypominają swemi rozmiarami pałac dożów weneckich. W r. 1867, gdy Laveleye pierwszy raz odwiedzał Belgrad, stały one prawie pustkami; dziś ludno tu i gwarno, pokoje i stoły wszystkie zajęte. I miasto zmieniło się od owego czasu. Szeroka, idąca przez jego środek ulica zabudowana jest pięknemi kamienicami; pełno tu wielkich sklepów, nęcących bogatemi wystawami. Tureckie kramy znikły. Nic nie przypomina Wschodu, „podróżnikowi zdaje się, że jest w Austryi.“ Nieopodal przy pięknym bulwarze konna statua księcia Michała, dalej teatr w czystym stylu włoskim. Towarzystwo dramatyczne, pobierając 40,000 fr. rządowej zapomogi, grywa sztuki narodowe, częściej jednak posiłkuje się przekładami z niemieckiego i francuskiego. Ogród publiczny odwiedzany jest licznie przez przechadzających się, którzy słuchają tu muzyki wojskowej i podziwiają wspaniały obraz, jaki roztacza się przed oczami widza: z zachodu podąża Sawa w objęcia Dunaju, ku wschodowi Dunaj sunie w dzikie górskie wąwozy, na północ, jak okiem zasięgnąć, rozpościerają się równiny węgierskie... A oto cytadela, z której turcy jeszcze w r. 1862 bombardowali Belgrad, czem zmusili Europę do interwencyi na rzecz młodego księstwa. W roku 1867 widział Laveleye turków opuszczających to siedlisko. Dziś i dzielnica turecka, która ciągnęła się brzegiem Dunaju, opustoszała; opuścili ją mieszkańcy, pozostawiając domy gieserom. Na miejscu tem żydzi hiszpańscy pobudowali teraz sobie nowe siedziby. Z czasów tureckiego panowania pozostało zaledwie kilka fontan z arabskiemi napisami i meczet, który rozsypuje się w gruzy. Morze tureckie ustępuje z zadziwiającą szybkością; niedawno sięgało po Dunaj i Sawę, dziś już daleko za Bałkanami.

Z okna swego pokoju dostrzega Laveleye budynek szkoły średniej. Uczniowie umundurowani na sposób francuski, gry również francuskie. Podróżnik robi uwagę, że wychowańcy tych szkół, równie jak wszędzie w Europie, przeciążani są pracą umysłową; za mało czasu pozostawiono na gimnastykę, śpiew i zabawy. Gimnastyka i śpiew wchodzi w program gimnazyów serbskich, młodzież jednak, przedwcześnie dojrzała, niezbyt chętnie oddaje się ćwiczeniom fizycznym. Zabawy na świeżem powietrzu utrzymały się lepiej jeszcze we Francyi i Anglii. Gry pod odkrytem niebem, mówi autor, odświeżają krew, wzmacniają muskuły, uczą zimnej krwi, stanowczości, wyrabiają pewność oka. „Rekreacya“ (*récréation* — odtworzenie), powiada Laveleye, jest to piękny wyraz francuski, któryby szerzej winien znaleźć zastosowanie. Starożytni, grecy szczególniej, wybornie pojmowali sztukę rozwijania całego człowieka, moralnie, umysłowo i fizycznie. W niezrównanych instytucyach, jakiemi były łaźnie rzymskie, obok sal do wykładów i rozpraw filozoficznych znajdowały się areny dla gier i ćwiczeń fizycznych. Jedni tylko anglicy naśladowali w tem starożytnych. Uniwersytety ich, prawdę mówiąc, tworzą więcej siłaczy niż uczonych; studenci wszystkie godziny poobiednie poświęcają ćwiczeniom fizycznym. Młode dziewczęta, oddające się studyom uniwersyteckim, naśladują ten przykład... Wzory to poleca autor serbom.

Laveleye zwiedza szkoły belgradzkie i wszędzie uderza go zbytnie przeładowanie nauką; 38 godzin lekcyj na tydzień, w czem trzy godziny gimnastyki i dwie śpiewu. Greckiego nie uczą w gimnazyach, więcej natomiast czasu poświęcają językom nowożytnym. W Serbii istnieją trzy gimnazya i dwadzieścia progimnazyów. Budżet średniego nauczania wynosi około pół miliona franków. Gimnazyum w Belgradzie liczy 620 uczniów, w Kragujewacu 357. Autor odwiedza ministra oświaty Nowakowicza, zasięgając u niego bliższych wiadomości. W r. 1883 liczono w serbskiem królestwie 618 szkół, mających 821 nauczycieli i nauczycielek oraz 36,314 uczniów obojga płci. Na ludność 1,750,000 wynosi to 1 uczeń na 48 mieszkańców, czyli 2% zaludnienia, procent, który autor znajduje nader słabym.

W kraju istnieją dwa miasta, liczące przeszło 20,000 mieszkańców — Belgrad i Nisz, osiem od 5,000 do 10,000, 43 od 2,000 do 5,000, 930 osad i wsi liczących od 2,000 do 500 mieszkańców i 1,270 przysiołków z ludnością od 500—200. Ponieważ jest tylko 618 szkół wypada z tego, że wiele większych nawet siedzib żadnych nie posiada uczelni. Najwięcej zrobiono dotąd dla średniego nauczania, co Laveleye uważa za błędne, w ten bowiem sposób mnoży się tylko karyorowiczów. W kraju tak demokratycznym, jak Serbia, należy kształcić przedewszystkiem rolników, oni bowiem są głównymi twórcami narodowego bogactwa. Działając w tym właśnie kierunku, minister Nowakowicz przeprowadził świeżo w skupczynie nową ustawę o szkolnictwie ludowem, wzorowaną na prawodawstwie saskiem i najdalej na tem polu posuniętych ludów skandynawskich. Ustawa ta jednak jest dopiero na papierze. Brakuje funduszów dla wprowadzenia jej w życie.

Serbia zreorganizowała także niedawno swoją armię, pod kierownictwem generała Nikolicza. Armia na stopie pokoju liczy 17,000, na stopie wojennej 80,000 żołnierzy. Budżet wojenny doszedł w r. 1883 do 10,305,326 fr. Zauważyć należy, że organizacya wojskowa Serbii uważaną jest za wzorową; ma ona tylko jedną wadę, że nie jest jeszcze dostatecznie zaaklimatyzowaną.

W niedzielę wchodzi autor do cerkwi katedralnej, gmachu w stylu mieszanym, bizantyńsko-włoskim. Liczba modlących się nader ograniczona; nieco kobiet, mężczyzn prawie nie widać. Pewien włoski ochotnik, który brał udział w wojnie serbskiej 1875 i wrażenia swe streścił następnie w książce *Sulla Drina* uderzony został tem, że w Serbii tak mało domów modlitwy, gdy przeciwnie, we Włoszech pełno kościołów i kaplic. Statystyka poucza nas istotnie, że w Serbii na 2,253 miast, osad i wsi jest tylko 972 parafii. Tylko biskupi, których jest pięciu, płatni są przez rząd, niższe duchowieństwo utrzymują sami wierni. Według świeżo jednak wydanego prawa duchowni pobierać mają prawo rodzaj pogłównego, po 2 franki od osoby. Księża, greckiego obrządku, żonaci, nie są podobno mocni w teologii, uprawiają wraz ziemnymi rolę i nie dążą do teokratycznej przewagi. Nie wywierają na swe owieczki podobnego wpływu, jak kler katolicki w Irlandyi, Tyrolu lub Belgii. Cerkwie nie są zawsze otwarte, jak kościoły katolickie, podwoje ich, jak i zborów ewangielickich, odmykają się tylko w dni świąteczne i nabożeństwa.

Autor odwiedza metropolitę Mraowicza, który jest głową serbskiego narodowego kościoła od czasu kiedy traktat berliński wyzwolił Serbię z pod władzy konstantynopolskiego patryarchatu. Nominacya monsignora Mraowicza była wypadkiem politycznym, oddaliła bowiem Serbię od Rosyi i zbliżyła ją do Austryi. Stało się to w warunkach następujących. Zaprowadzo-

no w Serbii podatek dochodowy i postanowiono obłożyć nim i duchowieństwo. Zwykły zakonnik miał płacić 100 fr., „jeromonach“ 150 fr., „ihumen“ 300 fr. Poprzedni metropolita Michał sprzeciwił się temu podatkowi. Rząd odpowiedział, że nikt nie może się wyłamywać z pod prawa. Metropolita opierał się, wskutek czego rząd złożył go z godności i zamianował nowego, mimo że ustawy kanoniczne orzekały, że metropolita wybierany jest przez synod i zatwierdzany tylko przez rząd. Krok rządu uważano za samowolny i przypuszczano, iż po stronie Michała stanie lud i całe duchowieństwo. Nikt jednak nie stanął: Michał wyjechał do Rosyi, rząd zaś postawił na swojem, bez żywych nawet w kraju protestów. Duchowieństwo greckie — powiada Laveleye — nie jest tak wojowniczo nastrojone, jak kler katolicki. Nie zaprowadziłoby ono Bismarka do Canossy. Autor pyta metropolitę, czy trzoda jego na prowincyi równie mało jest gorliwa w spełnianiu obowiązków religijnych, jak w Belgradzie. Na wsi—odpowiada metropolita — znalazłbyś pan więcej ludzi w cerkwi; i tam jednak nie chodzą regularnie. Ubolewam nad tem; mimo to serbowie są dobrymi chrześcianami i bardzo przywiązanymi do swej religii, która związaną jest ściśle z ich uroczystościami rodzinnemi i uczuciem narodowem. Przez całe wieki gnębili nas muzułmanie i obdzierali fanarioci, mimo to pozostaliśmy przy naszej wierze. Laveleye zapytuje, czy rozwód, dopuszczany w kościele serbskim nie jest nadużywany? Bynajmniej—odpowiada metropolita. Cała prawie Serbia wyznaje grecki obrządek, prócz 15,000 katolików, przeważnie cudzoziemców i 3,000 żydów mówiących po hiszpańsku. Katolicy serbscy należą do dyecezyi biskupa z Djakowa.

Poseł francuski w Belgradzie prowadzi naszego podróżnika do króla Milana. Widywałem go często — mówi Laveleye — gdy dzisiejszy król serbski kształcił się w Paryżu pod nadzorem prof. Huët, który był także ongi nauczycielem autora. Po osiemnastu latach piękny młodzieniec z owego czasu jest dziś Milanem I-ym, królem serbów. Zachował żywe wspomnienie o pp. Huët, którzy otaczali go rodzicielską opieką. Powołany on został na tron nagle w r. 1868, po zamordowaniu księcia Michała w ogrodzie Topczidere. Jest on bardzo zajęty swym budżetem i zna go na pamięć. Dochody kraju z 13 milionów w r. 1868 wzrosły dziś do 34. „Nie poprzestaniemy przecież i na tem — powiada król Milan — podatki bowiem są źle zorganizowane i mogłyby przynosić dwa razy tyle... bez przeciążenia opodatkowanych.“ Profesor robi uwagę, że wydymanie budżetów jest chorobą państw nowożytnych, którą trzeba zwalczać, jeżeli nie ma stać się śmiertelną.

System finansowy serbski jest istotnie pierwotny, a opiera się przeważnie na pogłównem. Średnia cyfra tego podatku wynosi 30 fr. Robotnicy płacą od 2 do 10 fr. rocznie, stosownie do zarobku. Rozkład jest rzeczą gminy. Rząd z tego źródła pobiera 12 milionów. Podatki pośrednie przynoszą 2 miliony, dobra koronne 2 mil., różne opłaty 2 m. Gminy pobierają na swoje potrzeby dopłaty do podatku głównego.

Król zaprasza belgijskiego gościa i dawnego swego znajomego na śniadanie, po którem ma się odbyć uroczystość ludowa. Konak królewski jest jednopiętrowym pałacykiem; otacza go park cienisty. Umeblowanie dosyć skromne. Królowa Natalia jest córka besarabskiego bojara i pułkownika rosyjskiego nazwiskiem Keszko oraz księżniczki rumuńskiej Sturdza. Słynie ona swą pięknością. Jedynem dzieckiem królewskiej pary jest siedmioletni królewicz Aleksander. Jaki będzie los tego młodego księcia? zapytuje Laveleye. Czy stanie się on nowym Duszanem serbskiego państwa? czy włoży kiedy w Carogrodzie koronę dawnych carów? W krainach tych, mówi autor, będących w stanie fermentacyi i przeobrażeń, najśmielsze marzenia same się narzucają. W oczekiwaniu tego nieopodal dzisiejszego Konaku buduje się wspaniały dworzec z pretensyonalnemi kopułami...

Po kawie towarzystwo udaje się na wieś, gdzie lud obchodzi uroczystość *Slawy*. Wioska położona jest za ogrodem Topczidere, niedaleko Sawy. Marszałek dworu, pułkownik Franasowicz, objaśnia gościa o znaczeniu uroczystości. Każda rodzina, równie jak każda wieś ma swoją „sławę,“ to jest święto patrona. Uroczystość trwa dni kilka. Jest to zwyczaj stary, odnoszący się do czasów, kiedy rodziny żyły wspólnie. Świadczy on o tem, że uczucia patryarchalne są jeszcze w Serbii nader żywe. Święto bywa obchodzone powszechnie; w zakres uroczystości wchodzi uczta, połączona z mowami i śpiewami.

Wieś, w której ma się odbywać „slava“ jest niewielką grupą chałup, pokrytych słomą, otoczonych śliwkowymi sadami. Żadnego kościoła; środek wsi zajmuje szkoła. Pod werendą ustawiono siedzenia dla pary królewskiej i ich gości. Wieśniacy witają swego króla i królową okrzykami *Żiwio!* Laveleye zwraca uwagę na uderzające przeciwieństwo obyczajów miejscowych i zachodnich. Naczelnik okręgu w czarnym fraku i białym krawacie zbliża się do swego władcy i pozdrawia go ze czcią, czołobitny i sztywny jak urzędnicy zachodnio-europejscy. Mer miejscowy, *Kmet*, w stroju narodowym wita króla z całą swobodą, zwracając się z krótką przemową, w której tradycyjnym zwyczajem tytułuje go *ty*. Jest to demokracya z czasów Miłoszowych.

Gdy para królewska zajęła swe miejsce przed gankiem szkolnego budynku, zaczyna się nader charakterystyczna ceremonia. Wieśniaczki długim korowodem zbliżają się do królowej i każda całuje ją w oba policzki, co władczyni oddaje sumiennie. Ciekawy obraz: Królowa Natalia ma na sobie śliczną suknię letnią według ostatniej mody paryskiej, wieśniaczki w barwnych strojach ludowych. Królowa przedstawia całą dystynkcyę cywilizacyi nowoczesnej, wieśniaczki są uosobieniem cywilizacyi pierwotnej. Oto jeden z charakterystycznych szczegółów. Jedna z kobiet, nie młoda już, źle odziana, nieumyta, cuchnąca czosnkiem zdaleka, całuje królową kilkakrotnie i zwraca się do niej z przemową bez końca. Król przerywa. „Przestań no, czego chcesz?“ Mój syn jedynak—ciągnie stara—zginął w ostatniej wojnie, mam więc prawo do pensyi, a jednak jej nie dostaję. „Kmet—zwraca się król do wójta, który został przy jego boku—to ciebie dotyczy, co masz na to do powiedzenia?—Ja twierdzę, że kobieta ta żyje dostatnio i dla tego nie ma prawa do pensyi.—Jakto—odpiera kobieta—a taka to i taka z wioski sąsiedniej ma więcej ziemi odemnie, a przecież pensyę dostaje.—Nie do mnie należy sądzić, co robią drudzy — rzecze wójt — ja spełniam mój obowiązek, broniąc interesu płacących podatki.—Rozpatrzymy to — odpowiada król. Pułkowniku Franasowiczu zanotuj o co idzie. „Wyobrażam sobie — pisze Laveleye — że w ten właśnie sposób św. Ludwik sądził pod swoim dębem. Widzę tu w żywej formie dawną patryarchalną królewskość.“

Król objaśnia swego gościa o urządzeniach gminnych w Serbii. Gmina, *opsztina*, cieszy się szerokim samorządem w granicach przez prawo określonych. Mieszkańcy mianują radę gminną i wójta bez żadnego mieszania się władzy centralnej. Rada wyznacza budżet. Jest to istotnie gmina pierwotna, taka, jaką znajdujemy jeszcze w Szwajcaryi, Norwegii, w Ameryce, jaka istniała wszędzie, zanim rząd centralny ograniczył jej zakres działania. Posiada także własny sąd. Wójt, *predsednik opsztine*, wraz z wybieralnymi na rok ławnikami tworzy kolegium sądowe, które rozpatruje wykroczenia mniejszej wagi i spory do 200 fr. Drugą instancyę tych sądów gminnych tworzą komisye złożone z pięciu członków, wybierane na lat trzy. Rady gminne wybierają także przysięgłych, biorących udział w ławie, która sądzi przestępców, pochodzących z ich gminy. Na całym naszym Zachodzie — mówi Laveleye — w wiekach średnich w łonie gmin istniało takie właśnie sądownictwo. W Serbii prócz sądów gminnych jest w każdym okręgu trybunał pierwszej instancyi (sąd okręgowy), jedna Izba apelacyjna i sąd kasacyjny. Organizacya tu jest zapożyczoną u Francyi. Autor zaznacza, że daje się zauważyć ostatnimi czasy w Serbii dążność do ograniczenia sądów gminnych. Świeżo wydana ustawa zmniejszyła ich zakres działania. Jest to—powiada—postęp wsteczny, u nas bowiem na Zachodzie dążymy dziś do decentralizacyi i uważalibyśmy się za szczęśliwych, gdybyśmy mieli gminę taką jak w Serbii lub w Stanach Zjednoczonych.

Podróżny widzi nieopodal jakąś szopę. Król objaśnia, że jest to śpichrz zapasowy na wypadek wojny lub głodu. Jeszcze jeden dobry stary zwyczaj — dodaje autor. W Serbii każda gmina obowiązana jest posiadać taki śpichlerz, każda rodzina winna składać doń rocznie około 182 kilogr. zboża. Daje to na cały kraj 60—70 milionów kilogr. zapasu na wszelki wypadek.

Zaczynają się tańce, tradycyjne *kolo* (bulgarskie *Koro*, greckie *choros*). Przed oczami widza rozwija się różnobarwny pierścień, wykonywający wdzięczne ruchy w takt muzyki cygańskiej, umieszczonej pośrodku. Melodya łagodna, melancholijna, nieporywająca bynajmniej. Stare dęby rzucają orzeźwiający cień na ten wieniec wzorzysty. Nie widać pijanych, biesiadnicy wodą gaszą pragnienie; nie słychać trywialnego krzyku. Uroczystość odbywa się z zachowaniem form przyzwoitości. Wieśniacy ci odznaczają się wielką naturalną dystynkcyą i godnością ludzi wolnych. Obraz to daleki od pospolitości.

ODCZYTY.

Kobieta w powieści polskiej.

W. Marrené.

I wdzięczny i właściwy dla siebie temat wybrała prelegentka do odczytu. Katedra publiczna najmniej nadaje się do szczegółowych krytyk literackich, do odważania i oceniania drobiazgów; ale jest bardzo odpowiedniem miejscem dla wywodów ogólniejszych. P. Marrené zaś jako autorka, przyjmująca bardzo czynny udział w apostołowaniu postępowych przemian doli niewiast, umiejętnie mogła była nakreślić główne zwroty tego rozwoju. W odczycie swoim zaznaczyła je kolejno, poczynając od galaretowatych postaci sentymentalizmu a kończąc na kryształach i kryształkach nowszej emancypacyi. Więc przesunęła przed uwagą słuchaczów roztkliwione Malwiny, jeszcze czułe, ale już zabiegliwe bohaterki Tańskiej, dalej twory Sztymera, Kraszewskiego, Jeża — wreszcie Orzeszkowej.

Nad tą ostatnią grupą, jak łatwo można było przewidzieć, zatrzymała się prelegentka dłużej. Orzeszkowa istotnie jest matką najbardziej wyzwolonych i najrozumniejszych kobiet w powieści polskiej, ona rozdała walczącym „niewolnicom“ najwięcej promieni.

Wyczerpującą pogadanka p. Marrenowej nie była, gdyż ją ograniczał czas i odcięta od innych sfer poezyi dziedzina promieni.

Powieść jest rzeczywiście śród tych dziedzin najobszerniejszą, ale nie jedyną, w której występują ideały i typy kobiet, pozostają jeszcze: liryka, dramat itd. Rozwój więc właściwie odbywa się daleko szerzej.

W zakreślonych wszakże granicach przedmiotu i czasu prelegentka spełniła swoje zadanie sumiennie i szczęśliwie. Liczne grono słuchało wykładu uważnie, z zajęciem i korzyścią, podziękowało jej też rzęsistym i zasłużonym oklaskiem.

LIBERUM VETO.

Odważni, którym los sprzyja. — Bezczelność dojąca krótką pamięć. — Jubileusz Duchińskiego. — Kominek i wulkan, kocioł i garnek. — Sąd lisów nad jeżem. — Połączenie się *Tygodnika powszechnego* z *ilustrowanym*. — Korzyść abonentów. — Kandydaci do stanu małżeńskiego w prasie. — Wspomnienie o umierającym czy poślubionym. — Dziewica p. Stachurskiego. — Wesoła wojna.

Tylko trzeba być śmiałym!

Koniokrad niech udaje zapalonego „sportsmena,“ posiadającego zarodową stajnię, lichwiarz niech w dziurce surduta nosi znaczek członków towarzystwa dobroczynności, pijak niech piorunuje na żydów, rozpajających lud wiejski, zacna matrona po trzydziestu kochankach niech publicznie obrazi czyjąś żonę cywilnie poślubioną — wszyscy przed oczami większości zasłonią swe garby z tyłu i ukażą szerokie piersi z przodu. Bo większość ludzi oblicza każdego człowieka według jego słów — ostatnich, większość nie ma, nie chce mieć pamięci. Śpiewak ciął koguty w całej aryi, ale przy końcu podniósł z rozmachem rękę do góry i wziął mocno ostatnią nutę— brawo! brawo!

Trzeba tylko wyrzucić rękę i wziąść nutę mocno, bardzo mocno — trzeba być odważnym!

Jakieś pismo w jednym numerze, albo nawet w jednej kolumnie tego samego numeru depcze arystokratów, w drugiej — demokratów, tu złorzeczy księżom a obok potępia niedowiarków, tam grzmi przeciwko kapitalizmowi i zaraz potem przeciwko socyalistom — klaszczą kolejno: arystokraci, demokraci, księża, niedowiarki, kapitaliści i socyaliści. Tylko śmiało, a wtedy, uprawiając płytką krytykę, można łajać płytkich krytyków, trudniąc się osobistemi napaściami i rozgrzebywaniem prywatnych tajemnic, można pod pręgierzem stawiać napastników. Według przysłowia francuskiego: „w domu wisielca nie mówi się o sznurku.“ Jeśli tak było dawniej, dziś — nie. Dziś w domu wisielca mówi się przedewszystkiem o sznurku. Jest to tak przyjęte, tak modne, jak buty ze spiczastymi nosami. Czasem (bardzo rzadko) ktoś wzdrygnie się na bezczelność, ale okręt płynący po morzu baczy na jego fale, lecz nie na kroplę wonnego olejku lub śliny, która w nie wpadła. Ktoś — to zaledwie ktoś.

Nie jest to wszakże wyłączny zwyczaj naszej chałupki. We Lwowie obchodzono jubileusz Duchińskiego, autora *Zasad dziejów Polski*. Wiadomo, że w tych *Zasadach* i innych pismach Duchińskiego jest wiele naukowej fantazyi, która łechce pewne uczucia, dogadza namiętnościom politycznym, ale w głowie czytelnika jasnej świeczki nie stawia. Dostał też szan. improwizator nieszczególną od krytyki polskiej cenzurę, w której i ja kiedyś zapisałem zły stopień. Ale sprawa prostodusznego jeża zmienia się, gdy do wyrokowania o jego krwiożerczości zasiadają lisy. Istotnie Duchiński napisał wiele banialuk, ale trzebaby je podnieść do potęgi *n*., ażeby otrzymać tę sumę świadomych kłamstw i sfałszowań historyi i etnografii, którą jego obecni sędziowie zabezpieczyli na hipotece nauki i od której w życiu pobierają wysokie procenty. On tworzył przypuszczalne rodowody, a oni ciągle podrabiają lub niszczą wiarogodne świadectwa; on błędnie zgadywał, a oni wbrew najoczywistszym dokumentom kłamią. Nie wiem, jak tam długo myśl nasza żyć jeszcze będzie, ale to wiem, że ona może przewyższy swoich nieprzyjaciół we wszystkich innych talentach, tylko nigdy w talencie łgarstwa. Wobec arcydzieł tego rodzaju, na które obecnie patrzymy, Duchiński jest partaczem, naiwnem dzieckiem, psotnikiem, wygląda jak dymiący kominek wiejskiej chaty przy wulkanie, wyrzucającym straszne potoki lawy. Olbrzymie kotły przymawiają temu małemu garnkowi, że smoli — czy rzeczywiście nie widzą swoich sadzy? Gdyby Mesalina została przełożoną westalek, gdyby Barabasz zaczął głosić ewangielię, gdyby Mahomet wystąpił w obronie jednożeństwa — nie byłoby w tem nic dziwniejszego. Ktoś powiedział, że twoi rodzice pochodzili z Węgier, każesz go obić, jeśli przedtem twierdziłeś, że jego uczciwi rodzice byli zbrodniarzami, albo nawet, że wcale nie istnieli? Ziemia fałszem nasiąkła dla Duchińskiego będzie jeszcze lekką.

Ostatnie miesiące roku są zwykle porą urodzin i śmierci w prasie peryodycznej. Kolebki dotąd nie widzimy — trumnę już przygotowano. Spocznie w niej *Tygodnik powszechny*, który dla *ilustrowanego* odbierze sobie życie. Od n. roku dwa te pisma spłyną się z sobą, pierwsze z nich odegra rolę Narwi, a drugie Wisły. Ponieważ Królestwo Polskie posiadało więcej ilustracyj, niż... Niemcy, ponieważ wydawnictwa tego rodzaju są bardzo kosztowne i zaledwie 6,000 abonentów mogą pokryć nakład, skurczenie się więc prasy naszej z tego brzegu jest bardzo naturalnem i — jeśli nie zawiedzie rachuba — pożądanem. Bo przypuśćmy, że *Tygodnik ilustrowany*— dzięki tej „fuzyi“ — wzrośnie do 10,000 prenumeratorów (istnieją nawet w Rosyi podobne pisma liczące ich po kilkadziesiąt tysięcy) — osiągnie większe środki a zatem będzie mógł dawać cenniejsze rysunki i artykuły. Naturalnie abonenci na tem skorzystają. Gdy obok statków p. Fajansa zaczęły po Wiśle pływać statki p. Górnickiego, publiczność cieszyła się ze współzawodnictwa i o tyle zyskiwała na niem, że jeździła prawie darmo i omal nie otrzymywała w darze po koszyczku śliwek. Ale zarówno p. F., jak p. G., mieli dosyć podróżnych. Tymczasem w obecnym wypadku nakładcy musieli dźwigać straty. Zresztą przeciwnicy monopolu niech pocieszą się tem, że Górnicki w *Tygodniku ilustrowanym* będzie miał swego Fajansa w *Kłosach*, który go dopilnuje.

Przykład ten, wyraziście odbijający się na tle ogólnego spadku prenumeraty, może wywoła w prasie naszej więcej takich połączeń. A kandydatów i kandydatek do stanu małżeńskiego nie brak! Mamy pisma tak między sobą podobne temperamentem, zasadami, nawyknieniami, gustami, że trudno pojąć, co im przeszkadza w zjednoczeniu się, zwłaszcza że dwa małe majątki tworzą w stadłach jeden większy. Utrata zaś samodzielności może się odbyć ze wszystkiemi znamionami ofiary dobrowolnej. Sposób już dawno wynaleziony: sprzedaje się prawa wydawnicze za 1,500 rs., pod warunkiem, ażeby nabywca upewniał, że dał 15,000 — i dosyć. Nie chcę być ani swatem, ani rewizorem cudzych interesów, więc nie wymieniam tych par w naszej prasie, które powinnyby się skojarzyć, ale widzę ich sporo.

O piszącym swój testament czy też intercyzę przedślubną *Tygodniku powszechnym*, synu *Opiekuna domowego*, a wnuku *Ogniska* to tylko powiedzieć mogę, że prowadził życie przyzwoite. Miał krew chłodną, serce dla szlachetnych uczuć otwarte, głowę jasną. Nie był fanatykiem w żadnym kierunku, a często nawet, nieco pokasłując, cedził przez usta słówka liberalne. Każdy jego numer był wazą lekkiego ponczu, na którym chwiał się niebieskawy płomyk. Nie parzył, nie upajał, bo soki przeważały nad winem i arakiem, ale rozgrzewał i mile przemykał się przez gardło.

Kto zna tę jego naturę, nie dziwi się, czemu „typowi dziewicy polskiej“ W. Gersona przyznał pierwszą nagrodę, a rysunkowi P. Stachewicza — drugą. Tamta nikogo nie odurzy — ta wielu. Śliczne ma oko, nosek, czoło. Policzek za szeroki, usta z brodą za długie, ale całość bardzo piękna — i rozumna. Wróżę tej panience pomyślną przyszłość. Będzie ją kochał liczny zastęp wielbicieli, będzie ona czarowała ich zarówno...

Dość, bo przecie ta dziewica może mnie jak p. Zapolska zaskarżyć do sądu. Słyszeliście? Prolog komedyi już odegrany, a wkrótce zapewne nastąpi akcya główna i epilog, który bodajby wypadł na korzyść szan. akwarelistki i jej obrońcy. Czasy ciężkie, powieści, nawet z naturalistycznemi bohaterkami, nie sprzedają się, poślednieji adwokaci spraw nie mają, będę też bardzo zadowolony, jeżeli przyczynię się do rozreklamowania książki p. Śnieżkowej i gotowości obrończej p. Pileckiego. A łakie „oskarżonych“ ten mąż bardzo! Gdy do sądu pokoju przybył p. Wiat i oświadczył, że on jest autorem artykułu, p. Pilecki schwycił go do swej skargi skwapliwie. Ma już dwu — czy nie przydałby się jeszcze nasz korektor, roznosiciele? Chętnie służymy, bo czasy istotnie ciężkie.

Na piórze osiadło mi tysiąc żartów, ale spuszczę je na papier wtedy, gdy szczególna ta sprawa będzie rozstrzygniętą. Tymczasem przyznaję p. Zapolskiej i p. Pileckiemu, że wytoczyli oni nam taki proces, jakiego zapewne jeszcze sądy państwowe od stworzenia świata nigdy nie słuchały. Stało się to zapewne dlatego, że—Kraszewski wyjechał z Magdeburga.

Że literatura polska otrzymuje w tym fakcie ziarenko ładnego zwyczaju — nikt chyba nie wątpi. Zdaje mi się wszakże, że ziarno to nie będzie w niej płodnem. Ale zachowajmy rozmyślanie i humor do właściwej pory.

Poseł Prawdy,

NA WIDNOKRĘGU.

Uprawa chmielu.—Nauczyciele wędrowni i 4 prawdy społeczne. — Nowa pożyczka. — Związki asekuracyjne. — Dlaczego w Łęczycy niema studni. — Zmiana tonu.

Pomiędzy mniej lub więcej rozsądnymi środkami, jakimi od niedawna „upadająca“ prasa starała się wyleczyć dawno „upadającą“ własność ziemską, największą popularnością cieszyło się zalecanie uprawy chmielu na rozległą skalę. Dlaczego zaś chmiel miał tylu zwolenników, zgadnąć łatwo. Amator zrazów z kaszą gryczaną radził wysyłać je w puszkach do Paryża, wielbiciel bigosu chciał w ten sam sposób wywozić ulubiony polski przysmak. Domorosły ekonomista, który nie potrafił pójść w ślady „znanych“ kolegów i nie przywłaszczył sobie ani cudzej żony, ani cudzych pieniędzy, lecz owszem zmuszony był wydawać sporo na stroje własnej małżonki, zalecał hodowlę jedwabników, łudząc się nadzieją, że może staniają ceny materyj jedwabnych. Inny znowu, wesoły chłopak pragnął w każdym dworze urządzić figarnie. Większość jednak, która żadnych odrębnych gustów nie posiadała

i w chwilach wolnych od kierowania społeczeństwem zgodnie łykała piwo, zwróciła światłą i baczną uwagę na środki uczynienia tego napoju tańszym i lepszym. Długo wszakże błądzono po manowcach, zastanawiając się poważnie: czego u dyabła potrzeba do wyrobu bawara?—aż wreszcie znalazł się pewien świadomy rzeczy publicysta, który, zanim został sprawozdawcą muzycznym, krytykiem dzieł filozoficznych i autorem kroniki rolniczej (w trzech pismach, lecz jednej osobie) był inkasentem w browarze. Uczony ten objaśnił, że do fabrykacyi potrzeba przedewszystkiem wody, słodu i chmielu. Poważny redaktor, który piastował niegdyś godność konduktora na drodze żelaznej, oświadczył, że dwa pierwsze produkty znajdują się w kraju, ale chmiel sprowadzamy z zagranicy, o czem on wie najlepiej, bo prowadził przecież nieraz pociągi towarowe, a uczony botanik (ten sam, który był najprzód berejterem, potem zaś pisywał artykuły o historyografii polskiej jako X. z Pacanowa) dodał, że roślina ta znajduje się u nas w kraju i nawet w stanie dzikim pnie się po płotach. Zważywszy wymienione okoliczności postanowiono: zachęcać ziemian i włościan do uprawy chmielu.

Ale żart na stronę. Uprawa chmielu w kraju naszym ma wszelkie widoki powodzenia i rzeczywiście w ostatnich latach przybrała szersze rozmiary. Cóż się jednak okazało? Rolnicy wyprodukowali znaczne zapasy chmielu, ale piwowarzy nie kupują go wcale, chociaż przyznają, że posiada te same przymioty, co sprowadzany z zagranicy. *Kuryer warszawski* wyjaśnia przyczynę, a raczej powtarza wyjaśnienie, dane już przed paru laty przez jednego z właścicieli browarów. Piwowarzy warszawscy *muszą* kupować chmiel zagraniczny, bo tamtejsi dostawcy: 1) posiadają znaczne kapitały zahypotekowane na browarach 2) dają odbiorcom roczny kredyt. Nasz więc chmiel kupują tylko spekulanci, którzy wysyłają go za granicę, skąd powraca do kraju pod firmą czeskiego lub niemieckiego. W ostatnich dniach pisma codzienne zamieściły wiadomość, że p. H. Jung zakupił znaczną partyę chmielu krajowego. P. Jung, król piwowarów warszawskich, mógłby rzeczywiście najprędzej uwolnić się od dostawców niemieckich. Chętnie podnieślibyśmy ten pierwszy przykład wyzwolenia się z obcej zależności, gdyby nie ta drobna okoliczność, że chmiel zakupiony pochodzi z dóbr, z właścicielem których łączą podobno p. Junga stosunki handlowe.

Od uprawy chmielu nie potrzebujemy robić przeskoku do ogrodownictwa, które również przysporzyć może dochodu rolnikom. Sprawę tę podjęli przed laty kilku nie ochotnicy dziennikarscy, ale grono ludzi energicznych, właściwie przygotowanych i ożywionych szczerym zapałem, którzy w szczupłym zakresie swych usiłowań zrobili już bardzo wiele. Jedyna to chyba sfera naszej działalności społecznej, w której widoczny jest ciągły postęp. Jeżeli, jak utrzymują osoby świadome rzeczy, cały zapas energii męzkiej ześrodkował się w Towarzystwie wioślarskiem i tattersalu, to bezwątpienia skołatana wieloma przeciwnościami energia obywatelska zamieszkała w Towarzystwie ogrodniczem. W poprzednim numerze *Prawdy* zanotowaliśmy w „Kronice“ wiadomość, o środkach za pomocą których Towarzystwo zamierza szczepić zamiłowanie do ogrodnictwa i umiejętność jego w kraju. Jednym z takich środków ma być instytucya nauczycieli wędrownych, która w Niemczech działa bardzo pomyślnie. Towarzystwo ogrodnicze istnieje od niedawna, członkowie jego mają więc ową żywą wiarę młodości, którą dotychczasowe powodzenie wzmocnić tylko mogło, i sądzą, że wykłady publiczne na jarmarkach lub odpustach łatwo będzie można urządzić...

Ciekawi ludzie odkrywają czasem istotnie ciekawe rzeczy. Oto np. lotny sylf *Kuryera warszawskiego* zajrzał najprzód do wykazów hypotecznych, a potem do pugilaresów (w przenośnem znaczeniu) obywateli płockich i obrachował, że z sumy 1,613,750 rubli wypłaconej dotychczas nowej pożyczki po umorzeniu długów właściciele wzięli poręki 861,150 rs. Jednocześnie wszakże bystry obserwator zauważył, że ziemianie płoccy jak byli, tak są bez gotówki. Dla wyjaśnienia tego faktu stawi on hypotezę, że suma ta została użytą na pokrycie niedoborów w kapitale obrotowym. Zapewne że za takie pieniądze można dokonać wielu obrotów. Niejeden *obrócił* kilkakrotnie z Wólki do Warszawy i napowrót, pewien procent *obrócono* znowu na „konieczne“ wydatki, np. kupno karety itp., jakaś część *obracała się* po zielonym stoliku, ale najwięcej gotówki poszło na spłatę należności lichwiarskich, chociaż mamy nadzieję, że *wróci* do kieszeni ziemian w formie nowej pożyczki lub zaliczki. Towarzystwo kredytowe przyznało dotychczas 15 milionów rubli nowych pożyczek, rozmaite więc „obroty“ powinny być bardzo ożywione w przyszłorocznym karnawale.

Mówiliśmy niejednokrotnie o związkach rolników w celu wzajemnego ubezpieczania się od ognia, i chociaż tego rodzaju stowarzyszeń nie uznajemy za zupełnie odpowiadające celowi, w braku jednak instytucyi państwowej lub ogólno-krajowej, na wzajemności opartej, powitaliśmy je sympatycznie. Bądź co bądź jest to wyrwanie choć części łupu monopolowi towarzystw prywatnych. Złączeni solidarnie ziemianie, jakkolwiek muszą asekurować się w towarzystwach istniejących, korzystają jednak z t. z. zwrotów, które w spółce warszawskiej wynoszą 49% a w lubelskiej nawet 58% opłaconych składek. Cyfry te pokazują że składki pobierane przez towarzystwa ubezpieczeń mogłyby być prawie do połowy zniżone, gdyby asekuracyą zajęła się instytucya, nie szukająca zysku.

Za przykładem rolników idą obywatele i przemysłowcy łódzcy, którzy wypracowali projekt towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń i podali go do zatwierdzenia władzy. Jeżeli to nastąpi, to może i przedstawiciele straży ochotniczej przestaną się skarżyć, że właściciele fabryk i domów nie pozwalają im brać wody ze studni, znajdujących się w podwórzu do gaszenia pożaru w sąsiedztwie. Na ostatniem posiedzeniu straży ogniowej zapadło postanowienie, żeby w razie oporu wyłamywać bramy: Ciekawa jednak rzecz, że ten gwałtowny środek stosowany ma być tylko do zwyczajnych domów, pp. fabrykanci wolni są od przymusu, chociaż również nigdy wody nie dają.

Dobrze jeszcze, że w Łodzi nie ma tylko wody do gaszenia ognia, bo oto np. w Łęczycy brak jej nawet do picia. Jest to jedyne zapewne miasto, które nie posiada wcale studni; pochodzi to stąd zapewne, że w czasach, kiedy władze miejskie zajmowały się takiemi głupiemi sprawami, jak kopanie studzien, piskorze łęczyccy nie pili wcale wody i nie myśleli, że dzieci ich zmarnieją do tego stopnia, iż kiedykolwiek wezmą do ust taki niewłaściwy dla człowieka napój.

W dobrach Żyżyn w lubelskiem rządca postrzelił w lesie przechodzącego włościanina. Ponieważ sądzono że rządca jest niemcem nie było miary oburzeniu. „Barbarzyństwo,“ „ciężka rana“ „niewinna ofiara“ donosiły *Kuryery*. Później okazało się, że bohater żyżyński jest polakiem—odrazu nastąpiła zmiana tonu. „Barbarzyństwo“ jest tylko „popędliwością,“ „ciężka rana“—„lekkim postrzałem,“ ale najgorzej wyszedł ów biedny chłop, bo z „niewinnej ofiary“ został „złodziejem leśnym.“ Co za wzruszający dowód poczucia plemiennego, uświęcającego wszelkie plugastwa i wszelkie występki.

J. Nieborski.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 12 listopada.

Obrady konferencyi w sprawie bułgarskiej trwają od dni kilku, ale wiadomości o nich nie przenikają wcale prawie do dzienników. Pewnem jest tylko, że żądanie przywrócenia poprzedniego stanu rzeczy nie zostało postawione jako warunek konieczny. W przededniu rozpoczęcia obrad rząd rosyjski zaznaczył wyraźnie swe stanowisko, rozkaz cesarski o wykluczeniu księcia Aleksandra z armii rosyjskiej i pozbawieniu go szefowstwa pułku nie potrzebują komentarzy. Korespondent *Prawit. Wiestnika* daje jednak wyjaśnienie. Książe Aleksander i naczelnicy ruchu narodowego bułgarskiego lekceważyli rady Rosyi, kłamliwie i wykrętnie tłomaczyli ludowi postępowanie rządu cesarskiego, kiedy zaś dłużej niepodobna było nikogo łudzić zaczęli podżegać namiętności mas, urządzili demonstracyę przed domem ks. Kantakuzena i ośmielili się nawet grozić konsulowi generalnemu. Po tak wyraźnem oświadczeniu Rosyi projekt unii osobistej Rumelii z Bułgaryą niema widoków powodzenia, nawet utrzymanie na tronie ks. Aleksandra jest wątpliwem, zwłaszcza że po danem ostrzeżeniu nie upokorzył się, ale, jak donosi *Journal de St. Petersbourg*, przed frontem wojska wzgardliwie wyrażał się o oficerach rosyjskich, a przed kilkoma dniami potwierdził wyrok śmierci, wydany na poddanego rosyjskiego, oskarżonego o zamiar wywołania zaburzeń w Sofii. Mocarstwa najprzychylniej usposobione dla żądań bułgarskich — jak np. Anglia — muszą liczyć się z usposobieniem Rosyi, która obecnie uważać może poparcie księcia i unii jako krok skierowany przeciw sobie.

Jakkolwiek wypadną rezultaty obrad konferencyi, nie usuną one największej trudności, polegającej na tem: kto i w jaki sposób wykonać ma postanowienia Europy. Wątpliwem jest zresztą czy Serbia i Grecya zgodzą się dobrowolnie na powrót dawnych stosunków. Ostatnie gazety przynoszą wiadomość o pierwszem starciu orężnem pomiędzy serbami i bułgarami, drobna to iskra ale i ona pożar rozniecić może. Serbowie wkroczyli na terytoryum bułgarskie i posunęli się o kilka kilometrów od granicy, jeżeli nie cofną się wojna zdaje się być nieuniknioną.

W delegacyach austro-węgierskich pomimo iż p. Kalnoky oświadczył, że Austry pragnie utrzymać dawne stosunki, czesi przemawiali w obronie dążeń bułgarskich, polacy milczeli, rozumie się, „z obawy żeby nie przyczynić kłopotów przychylnemu dla kraju rządowi.“ Hausner i Czerkawski wnieśli interpelacyę w sprawie wydalania poddanych austryackich z Prus, poparli ich czesi i niektórzy niemcy. Minister oświadczył, że wypędzono dotychczas tylko kilkadziesiąt osób, Hausner twierdzi, że 9,000. Kto ma słuszność?

Minister oświecenia i wyznań Conrad podał się do dymisyi, następcą jego mianowany został radca ministeryum Gautsch, osobistość nieznana zupełnie i nie należąca do parlamentu. Nominacya ta nie podobała się prawicy, ponieważ p. Gautsch uchodzi za centralistę.

Gabinet Brissona podał się do dymisyi, nie przyjął jej jednak Grevy, twierdząc, że rezultat wyborów wypadł w duchu dla polityki teraźniejszego rządu przychylnym. Gabinet pozostaje więc na swojem stanowisku aż do czasu zwołania parla-

mentu, zostanie tylko uzupełniony dwoma nowymi członkami na miejsce niewybranych ministrów handlu i rolnictwa Mangona i Legranda.

W Belgradzie odkryto spisek: sprzysiężeni pragnęli wywołać przewrót na rzecz księcia Karageorgiewicza, co pokazuje że stanowisko króla Milana nie bardzo jest pewnem. Mieszkańcy Kandyi wysłali do mocarstw notę, w której domagają się połączenia tej wyspy z Grecyą, wreszcie agitator bułgarski Petrow wydał odezwę, wzywającą ludność Macedonii do powstania. Słowem materyału wybuchowego nagromadziło się dosyć.

Przedstawiciel Anglii na konferencyi zaproponował, żeby ludność Rumelii oświadczyła swą wolę za pomocą głosowania powszechnego; byłaby to niepotrzebna zwłoka, bo nikt nie wątpi o rezultacie głosowania.

CUDZE GŁOSY.

PRASA ROSYJSKA.

Nowosti zamieszczają dwa artykuły o uciążliwości dla redakcyj pism—procesów o potwarz i zniesławienie, które wytaczają zwykle osobistości podejrzane, nie dla pozyskania zadośćuczynienia, ale dla dokuczenia pozwanemu. W ciągu lat ostatnich redakcya miała kilkadziesiąt procesów i we wszystkich redaktor uwolniony został od odpowiedzialności.

„Gazeta nasza w ciągu ubiegłych kilku dni miała aż 4 procesy. Wczoraj zaś mieliśmy przyjemność figurować w sądzie wraz z kilkoma petersburskiemi gazetami, które od roku tułają się po sądach, dzięki kaprysowi kilku osób.“

Redakcya powstaje na procedurę tego rodzaju spraw, pozwalającą wytaczać proces osobom zupełnie niewinnym, bez przedstawienia jakichkolwiek dowodów i oświadcza:

„postanowiliśmy, wedle możności, walczyć z tego rodzaju *praktyką sądową*, apelować od wyroków i później pociągać do odpowiedzialności naszych przeciwników za „nieuczciwe oskarżenie,“ przekonani, że każde poskromienie pieniactwa (klauzy) przyniesie korzyść prasie, osobom prywatnym a nawet sądom.“

Zjazd górniczy
w Warszawie.

Posiedzenia zjazdu odbywały się przez cały ubiegły tydzień pod przewodnictwem p. Skalkowskiego, dyrektora departamentu górniczego, oprócz właścicieli kopalń lub ich przedstawicieli w obradach przyjęli udział specyaliści górnicy, delegowani od dróg żelaznych i niektórzy przemysłowcy. Nie wdając się w szczegółowe streszczenie obrad, zaznaczymy tylko ważniejsze postanowienia i wnioski.

W sprawie obniżenia taryf kolejowych od przewozu węgla wystąpiły odrazu różnice zdań przedstawicieli dróg żelaznych i górnictwa. Ci ostatni nie bez słuszności twierdzili, opierając się na przykładzie dróg południowo-zachodnich, że taryfy mogą być obniżone oraz przyprowadzone do jednej normy. P. Stronczyński zwrócił uwagę zjazdu, że przywóz węgla szlązkiego drogą wodną przez Przemszę i Wisłę wzrasta ciągle i od 1880 r. z 383,000 podniósł się do 5,494,758 pud. w roku zeszłym. Idzie więc o to, czy wobec dogodności i taniości przewozu wodą nie dałoby się przesyłać węgla naszego tranzytem przez Prusy i Austryę. Wnioski oddzielnej komisyi w tej sprawie mają być przesłane wprost do departamentu górniczego.

P. Wister odczytał referat o produkcyi cynku którego okazuje się, że ta gałęź przemysłu upada, w jedynym bowiem zakładzie p. Kramsta wydajność cynku zmniejsza się i z 50,805 pudów w 1881 spadła do 37,566 w 1884. Przemysł ołowiany w królestwie upadł prawie zupełnie. Referent domaga się podwyżki cła.

Ze sprawozdania p. Kondakiego dowiadujemy się, że królestwo posiada obfite gniazda siarki, zwłaszcza w powiecie pinczowskim. Są to najbogatsze w świecie pokłady tego minerału. I ten referent radził wyjednanie cła, ponieważ jednak podwyżka wpłynąć by mogła ujemnie na fabrykacyę kwasu siarczanego, zebranie jego wniosek odrzuciło.

Przedstawiciele przemysłu żelaznego pragnęli znowu zniesienia cła od koksu, przynajmniej na lat 12, W celu wynalezienia w kraju węgli koksodajnych, zjazd uchwalił wyjednać premium rządowe w stosunku 10 kop. od puda za przetopienie polskim koksem pierwszego miliona pudów surowca.

Ważną bardzo jest uchwała o założeniu szkoły górniczej (sztygarów) w Dąbrowie. Do zakładu tego przyjmowani będą uczniowie od 17 lat wieku, którzy umieją pisać i czytać po polsku i rosyjsku, znają 4 działania arytmetyczne i praktykowali najmniej 2 lata w kopalniach. Program nauk obejmuje wykłady: religii, języków polskiego i rosyjskiego, geografii, geologii, arytmetyki, algebry, trygonometryi, początków fizyki i chemii, rozpoznawanie minerałów, zasady sztuki górniczej, początki metalurgii, ogólne zasady mechaniki teoretycznej i stosowanej, i rysunki. Koszta utrzymania szkoły wyniosą około 12,000 rs. rocznie, wydatek ten pokrywać mają składki od właścicieli kopalń. P. Skalkowskij oświadczył, że generał-gubernator warszawski chętnie bardzo przyjął projekt założenia szkoły górniczej, jest więc nadzieja, iż pożądany ten zakład wkrótce, bo może już w roku przyszłym, będzie otwarty. Program szkoły wydaje nam się zbyt obszernym na trzyletni przeciąg czasu, zwłaszcza, że wymagania od wstępujących uczniów są mniej niż skromne.

Referaty o marmurach krajowych i pokładach glinki ogniotrwałej nie posiadają ciekawych szczegółów, kończą się zaś jednakowo—żądaniem zaprowadzenia cła.

Niedawno władze wyższe opracowały projekt przepisów o odpowiedzialności właścicieli fabryk i zakładów przemysłowych na wypadek kalectwa lub śmierci robotnika. P. Strasburgier wystąpił z krytyką tych przepisów i żądał, żeby nie stosowały się one do zakładów górniczych. Jeżeli zaś to jest niemożliwem, to przynajmniej, żeby robotnik wtedy tylko otrzymywał wynagrodzenie, kiedy sąd stwierdzi, że wypadek nastąpił z winy właściciela. Widocznie p. Strasburgier nie wie o tem, że dziś robotnik ma prawo poszukiwać sądownie wynagrodzenia i to nawet nietylko w razie winy właściciela, ale i jego oficyalistów. Jeżeli zaś nie poszukuje, to dlatego jedynie, że droga sądowa jest dlań zbyt kosztowną. Słusznie bardzo odpowiedział p. Skalkowskij, że niema żadnej zasady wyłączać zakładów górniczych, bo wypadki nieszczęśliwe właśnie najczęściej zdarzają się w kopalniach, szczególniej zaś w państwie rosyjskiem, gdzie ich bywa 6—7 razy więcej stosunkowo aniżeli w innych krajach. Zjazd jednak przyjął wniosek p. Strasburgiera.

Projekt kasy emerytalnej dla górników spotkał opozycyę również ze strony p. Strasburgiera, który chciał go złożyć do akt. Zjazd jednak nie zgodził się na to zdanie. Według brzmienia projektu ustawy do stowarzyszenia obowiązani są należeć wszyscy robotnicy i niżsi oficyaliści, stale lub czasowo zatrudnieni w I-ym okręgu górniczym. W okręgu II-im kasa emerytalna istnieć nie może, gdyż robotnicy pracują tam czasowo.

Stali członkowie stowarzyszenia dzielą się na 3 kategorye. Pierwsza płaci 60 kop. miesięcznie, druga 40, trzecia 30. Opłata od właścicieli wynosić powinna połowę składek członków.

Za 50 lat mozolnej pracy robotnik otrzymywać ma emeryturę w ilości 12 rubli miesięcznie, jeżeli należy do pierwszej kategoryi, 8 jeżeli do drugiej i 6 do trzeciej. Wdowy pobierają $^{2}/_{3}$ pensyi emerytalnej, na utrzymanie zaś sierot kasa wypłaca 1 rs. 75 i 60 kop.

Jest to mniej niż mało.

Oprócz kasy emerytalnej istnieć mają jeszcze kasy pomocy dla robotników w razie nieszczęśliwych wypadków i choroby oraz oszczędnościowo-zaliczkowe.

Na ostatniem posiedzeniu odczytano ciekawy memoryał hr. Platera, który dowodzi, że właściciele naszych kopalń węgla prowadzą gospodarstwo rabunkowe, wyniszczając bogate pokłady i opuszczając mniej obfite.

Zjazd zakończył się biesiadą, w której przyjęli udział „przedstawiciele prasy“ — wznoszono toasta, wygłaszano mówki, ale sprawozdanie z tego należy już do pism humorystycznych.

L.

Wyjaśnienie.

Nie dla wiadomości p. Śnieżko-Zapolskiej, która rozprawę w sądzie przeniosła nad polemikę i tym sposobem straciła zupełnie prawo do zadośćuczynienia literackiego, jakiego pierwotnie żądała, tem bardziej zaś nie dla kruszenia kopii z damskimi fatygantami, którzy świadomi istotnego stanu rzeczy popuszczali cugli nikczemnym posądzeniom — ale wyłącznie dla czytelników *Prawdy* podaję następujące wyjaśnienie.

Nie zarzucałem nigdy p. Zapolskiej „kradzieży literackiej“— jak ona twierdzi, bo tem mianem nazywa się wydanie pod swojem nazwiskiem cudzego utworu, czego, o ile wiem, autorka nie popełniła. Twierdzę jednak ponownie, że powiastka *Gdyby ożyła* jest co do treści w drobnych szczegółach nawet podobną do utworu Enaulta — *Mademoiselle Galathée*, takie zaś przywłaszczenie cudzego pomysłu jest po prostu *plagiatem*, ja zaś przez grzeczność nazwałem go tylko *przeróbką*.

Czy *Małaszka* jest rzeczywiście przeróbką z rosyjskiego, na pewno twierdzić nie mogę, zarzut jednak w tej formie uczyniony został publicznie w prasie i autorka nie uważała za stosowne zbić go; miałem więc zupełne prawo zarzut ten powtórzyć, zwłaszcza, że tytuł powieści i wymienione w recenzyi szczegóły dostarczają dowodów na rzecz tego domniemania. Dodam przytem, że p. Zapolska nietylko w tych dwóch utworach korzysta z cudzych pomysłów, bo np. treść jej obrazka p. t. *Łza* przypomina bardzo nowelę Bałuckiego: *Co ją ocaliło.*

Na teraz tyle. Szczegółowe dowody znajdą czytelnicy *Prawdy* w sprawozdaniu z posiedzenia sądowego; pani Zapolskiej zaś, jej jawnym i pokątnym doradzcom, życzliwym obrońcom, i całej rzeszy reporterskiej żadnych wyjaśnień i odpowiedzi nie daję.

Przy sposobności tylko przypominam sprawozdawcom dziennikarskim, którzy pisali wzmianki o procesie widocznie pod cudzem dyktandem, że nietylko pełnomocnik p. Zapolskiej nie chciał polubownie zakończyć sprawy, ale uczynił to samo i p. Szyf, występujący w imieniu redaktora *Prawdy*, jak również i niżej podpisany. Należałoby także wiedzieć, że w procesach tego rodzaju niema wcale „oskarżonych,“ lecz tylko: powód i pozwany.

J. Popławski (Wiat).

KRONIKA BIEŻĄCA.

Nadesłane. Od autora artykułu „Ciekawa kartka“ otrzymujemy następujące pismo: „Bardzo mnie zobowiążesz, Szanowny Redaktorze, jeżeli w sprawie poruszonej przezemnie zamieścisz jeszcze następujących słów kilka.

Aby mnie przekonać, że dane wzięte z *Gazety losowań* były błędne, a więc i wnioski me, tem samem, mylne, dostarczono mi bilansów i sprawozdań towarzystwa „Lilpop, Rau i Loewenstein“ z 1874 r.—1885 r. na dowód: jakoby wbrew ogólnemu mniemaniu pan W. E. Rau akcyj swych się nie pozbył i posiada tę samą ilość od założenia towarzystwa L. R. i L.; jakoby p Rau bankierem towarzystwa nie był i kredytu

dawniej udzielanego nie cofnął, lecz tylko bankom ręczyć za towarzystwo nie chciał — skąd wniosek:

że p. Rau na szkodę towarzystwa nie działał, i że na całym składzie Zarządu, nie zaś na panu Rau wyłącznie ciążyć mogłaby odpowiedzialność za obecny stan interesów towarzystwa.

Przejrzałem odnośne dokumenty i przekonałem się, że prawda jak zwykle tak i w tym razie po środku leży. Okazało się mianowicie:

że p. Rau nie pozbył się wprawdzie wszystkich swych akcyj, lecz z 730 sztuk nabytych w 1873 r. posiada obecnie osobiście tylko 90!! z rodziną zaś około 350!

że p. Rau nie był wprawdzie stale bankierem towarzystwa, lecz np. w 1877 r. podpisał się wspólnie z panem Loewenstein na akceptach towarzystwach do wysokości 503,450 rubli, a w ostatnich czasach odmówił bankom rękojmi za kredyt towarzystwu udzielany.

Co do pozostałych punktów nadmienić muszę, iż nie utrzymywałem bynajmniej, jakoby p. Rau umyślnie na szkodę towarzystwa działał, lecz tylko, że od chwili, gdy w przyszłość towarzystwa wiarę stracił, czas swój, stosunki, kapitały ku innym korzystniejszym przedsiębiorstwom zwrócił a interesy towarzystwa zaniedbywał. Bardziej zaś jeszcze daleką była odemnie myśl, jakoby moralna odpowiedzialność za dalsze losy towarzystwa wyłącznie na panu Rau ciążyć miała. Traktowałem p. Rau jako „pars pro toto“ i mylilby się, ktokolwiek by z artykułu mego wyczytał, żem innych firmowych wspólników z pod tej odpowiedzialności wyłączył.

Zygmunt H.

Pomnik Kniaźnina w Końskowoli wykonany z szarego marmuru i odnowiony niedawno ze składek publicznych—pomalowano na czarno i w ten sposób zeszpecono zupełnie.

Zuchwalstwo finlandzkie. Finlandczycy postawili drugi już w r. b. pomnik na pamiątkę zwycięstw swoich nad wojskami rosyjskiemi. Oburza to niezmiernie dzienniki petersburskie, zwłaszcza że nowe wypadki zuchwalstwa jak np. wydrwiwanie przez kilku pijaków nabożeństwa prawosławnego i obraza dygnitarza duchownego przez zarząd kolejowy dolewają oliwy do ognia.

Jak piszą nasi znani. *Kur. warsz.* przytacza ustęp z artykułu p. Dobrowolskiego, redaktora *Dzien. pozn.*: Zebrania odbywać się *były* winny co tydzień a na nich każdy zobowiązany *był być*. Ustrój ten jak *by* stworzony *był* do tego *by* prędzej lub później.. Przysięga *była* okropną, *były* tam także zaklęcia itd. Słowem, w 10 wierszach 10 razy powtórzono słowo *być* w różnych odmianach.

Kobieta profesorem Dr. medycyna Józefina Cattani została mianowaną profesorem anatomii w uniwersytecie bolońskim.

Kara. Gazecie *Żiźn* zabroniono drukowania ogłoszeń i sprzedaży pojedynczych numerów.

Obawa. Korespondent *Gazety polskiej* donosi, że Mierzwiński śpiewając na koncercie w Odesie *Handzię* nie miał zamiaru wcale sprawić przyjemności żywiołowi małoruskiemu!

Samobójstwa. Liczba samobójstw w Austryi stale wzrasta, nie pokazując żadnych prawie wahań. W 1874 r. popełniono samobójstw 2,819, w 1883—3,595, w Galicyi 513 i 603. W porównaniu z innemi prowincyami cyfry galicyjskie są o wiele pomyślniejsze, może dla tego że wzrasta tam natomiast samobójstwo polityczne i moralne.

Szczepienie wścieklizny nie jest bynajmniej wynalazkiem Pasteur'a, stosował go przed 30 laty dr. Hering, rozumie się, niemiec. Tak przynajmniej utrzymują jego ziomkowie.

Ludność królestwa w ciągu ostatnich 10 lat z 6,607,000 wzrosła do 7,691,000 mieszkańców.

Kwestyonarz o stanie przemysłu rozesłany fabrykantom wywołał tylko 42 odpowiedzi, niektóre z nich są bardzo naiwne jak np. że podnieść nasz przemysł może tylko... wojna!

Towarzystwo ogrodnicze urządza odczyty specyalne dla swych członków.

Redaktorem *Biblioteki matematycznej* wskutek wyjazdu p. Baranieckiego zostaje p. Czajewicz, b. docent szkoły głównej.

Dramat p. t. *Ogniem i mieczem* przerobiony z powieści Sienkiewicza upadł w teatrze lwowskim po drugiem przedstawieniu.

Książki ludowe. Dochód z rozprzedaży podręczników dla szkół elementarnych w królestwie zostaje przeznaczony na rozpowszechnianie wśród ludności miejscowej dzieł popularnych w języku rosyjskim.

Obuwie rosyjskie. Podówczas gdy szewcy warszawscy rozmyślali nad sprawą wywozu swoich wyrobów do Cesarstwa, obuwie rosyjskie zjawiło się w znacznej ilości w Warszawie.

Bibliografia. Ludomir Prószyński: Apostołowie słowian śś. Metodyusz i Cyryl. Warszawa.

Statystyka wypadków na drogach żelaznych. W ciągu lat 5 (1880—1884) przedstawia się tak: w 1880 434 zabitych, 637 rannych, w 1881—380 i 718, w 1882 448 i 717, w 1883 439 i 717, wreszcie w 1884 420 i 654. Cyfry te dowodnie świadczą, że ubezpieczenie życia podróżnych i służby kolejowej jest bardzo pożądanem, zwłaszcza na rachunek dróg żelaznych, bo to wpłynęłoby niezawodnie na zwiększenie ostrożności.

Zmarli. Lucyan Paprocki, rysownik i dziennikarz.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Wielu pytającym. Wskutek naszej odpowiedzi zgłosił się ktoś, mający do sprzedania cztery pierwsze roczniki *Prawdy* za cenę prenumeracyjną. Możemy więc pośredniczyć.

OFIARY.

Na pomnik Mickiewicza. Zebrane na weselu u p. B. Ginsberg w Częstochowie rs. 64.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 1 Ноября 1885 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.